PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIWERSUM METRO 2033

W BLASKU OGNIA

WYBÓR NAJLEPSZYCH OPOWIADAŃ
POLSKICH FANÓW UNIWERSUM METRO 2033

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

W BLASKU OGNIA

WYBÓR NAJLEPSZYCH OPOWIADAŃ POLSKICH FANÓW UNIWERSUM METRO 2033

insignis

W blasku ognia
Wybór najlepszych opowiadań polskich fanów
Uniwersum Metro 2033

Autorzy
Michał Serwin, Maciej „doctor” Kóska, Tseena, Dariusz „Stalker1982” Szczepański, Paweł „PalBal” Balcerek, Akuumo, Kamil Jankowski, Katarzyna Auguścik, malynosorozec, Marcin „Amar” Wosztyl, Mateusz „Hermetyczny” Gembarski, Rafał „Rafen” Górniak

Pomysł serii „Uniwersum Metro 2033”
Dmitry Glukhovsky, 2009
Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2014

Redaktor prowadzący
Jakub Szpak

Redakcja
Piotr Mocniak

Koordynator projektu
Admin_uniwersum

Projekt okładki, skład i konwersja
Tomasz Brzozowski

Projekt logotypu serii
Jacek Doroszenko, www.doroszenko.com

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2014
Wszelkie prawa zastrzeżone.
ISBN-13: 978-83-63944-36-0

Insignis Media
ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
twitter.com/insignis_media

Tseena

Prolog

Kitaj-Gorod…

Tu znajdziesz wszystko, od prawdziwego kebaba, przez dziwki i mafię, po śmierć, zależy czego szukasz. Połowa przyjezdnych przegrała tu swój dobytek w karty, druga − nie zdążyła, bo ją obrabowano.

Zorganizowana przestępczość, haracze, lokalne święte wojny.

To miejsce można kochać albo nienawidzić. Albo opuścić je nogami do przodu… Ale pomijając drastyczne, mniej drastyczne i w ogóle jakiekolwiek szczegóły, to miejsce jest prawdziwym rajem.

Młody Paszka ubóstwiał je, odkąd sięgał pamięcią. Kochał fantastyczne zapachy z bazaru i nie mniej świetne widoki wystaw pełnych książek, broni, pamiątek z góry… Kochał tę część, w której kobiety sprzedawały swoje ciała, tę, w której grywano w kosza, i oczywiście tę, gdzie kwas był za półdarmo.

Ale jego najukochańsze miejsce było poza właściwą stacją. Posterunek na setnym metrze. Nie był taki jak ten obstawiony przez osiłków, tuż przed Kitajem. Obsadzali go ochotnicy, którzy zbierali się od czasu zatargu z Tretjakowską.

Na ogół nie było tam typowych bandziorów, a jedynie troskliwi obywatele, którzy nie chcieli znów gasić pożaru. Niekiedy był całkiem pusty, innym razem ludzi było całe mnóstwo.

„Setka” stała się jego drugim domem. Poustawiano tam stoły, zostawiono gitarę, komplet kart. Wyznaczono palenisko.

W tym miejscu ludzie stworzyli sobie prawdziwą mikrospołeczność. Było przytulnie, można było miło spędzić czas, a każdy z ochotników zostawiał tu cząstkę siebie, dlatego było tu tak wyjątkowo. Choć faktycznie… pilnowanie tunelu to ostatnia rzeczą, o którą tu dbano.

Paszka był tu niemal codziennie, uwielbiał słuchać gawęd przy ognisku. Swoje opowieści snuli miejscowi, a gdy te się kończyły, z pomocą przychodzili przyjezdni. Wiele z historii było tak fantastycznych, że nie mogły być prawdziwe, mimo to…

– Patrzajta kto lezie! To Paszka! − wołali już z daleka.

Dzisiaj było wyjątkowo dużo ludzi, w większości przyjezdni. Uśmiech rozpromienił chłopcu twarz. Zapowiadało się świetnie.

Borys brzdąkał coś na gitarze, ale nie on był w centrum uwagi, co mu widocznie przeszkadzało.

Ludzie zebrali się wokół starszego mężczyzny, przy ognisku. Przybycie Paszki oderwało ich na moment. Kilku jego znajomych wyściskało go i zaprosiło.

– Przepraszam, że przerwałem − powiedział i przysiadł się do grupy. − O czym…?

– Jeszcze o niczym − rzucił ktoś od niechcenia. − Dopiero zaczyna…

– Właśnie. O czym?

– Mów pan…

– Spokojnie − staruszek przerwał pytania. − Jak już wspomniałem będzie o…

Michał Serwin

Królowa tuneli

Petka był młodym handlarzem, który wszystkie fanty i umowy ze stalkerami dostawcami odziedziczył po swoim ojczymie. Zmierzał sobie tylko znanymi tunelami z Prospektu Mira do Kuźnieckiego Mostu. Można powiedzieć, że był szalony – chciał znacznie skrócić sobie drogę, po kryjomu wchodząc na Czystyje Prudy, stację opanowaną przez czerwonych. Ha! Mało tego, zamierzał przy okazji pohandlować z mieszkańcami! Wszyscy odradzali mu ten pomysł, zwłaszcza że sytuacja pomiędzy komuchami a Hanzą była dość napięta.

Jednak Petka, jak to Petka, wszystko wiedział lepiej. Śmiało wkroczył do ciemnego tunelu prowadzącego na Suchariewską. Gdy tam dotarł, od razu poszedł dalej, nie chcąc tracić czasu. Niedługo potem zobaczył płonące ognisko i żołnierzy strzegących wrót do stacji Czystyje Prudy. Podróż przebiegła całkiem pomyślnie, Petka nie napotkał większych niespodzianek. Na posterunku okazał sfałszowane wcześniej dokumenty. Wiecie przecież, jak łatwo w dzisiejszych czasach można zdobyć takie papierki… Oczywiście jak ma się odpowiednie kontakty. Ludzie go przyjęli, wszedł na stację. Tyle co się gdzieś tam na boku rozłożył, straganik postawił, a tu nagle zaczynają wrzeszczeć:

– Stać!!! Zatrzymać go!!!

Petka od razu rzucił wszystko w cholerę, mówił nawet potem, że na sam środek stacji cisnął granat. Zaczął uciekać, a tamci ruszyli za nim! Skręcił w jakąś odnogę, ciemno tam, straszno, ale trzeba było wiać! Pędził tunelem,

biegł ile sił w nogach… W końcu wybiegł na bardziej otwartą przestrzeń… Poszukał po omacku ścian. Tunel. Pogoni nie było słychać. Serce biło mu jak oszalałe. Po kilku minutach Petka uspokoił oddech i zaczął myśleć. Dotarło do niego, że jest sam. W mrocznym tunelu, bez broni, bez latarki, bez niczego.

Ale on się tym nie przejął. Mówił, że opanował się i ruszył przed siebie. Zdawało mu się, że widział jakieś blade światło w oddali, prawdopodobnie był to posterunek czerwonych. Skierował się w przeciwną stronę. Wolał umrzeć tam, w ciemnościach, niż rozstrzelany przez strażników.

W czasie marszu, nie przejmując się brakiem pożywienia czy narzędzia do obrony, rozmyślał nad tym, gdzie się dokładnie znajduje. Znał wszystkie stacje metra niemal jak własną kieszeń. Mówiono, że potrafiłby jedynie za pomocą węchu stwierdzić, na jakiej jest stacji. Myślał sobie: „Jeżeli za mną były Czystyje Prudy, to właśnie zmierzam na Łubiankę, a tam też komuchy. To może skręcić na Sreteński Bulwar? Znajdzie się tam jakieś wyjście, maskę… W końcu to porzucone stacje”.

Gdy tak rozmyślał, usłyszał nagle echo oddalających się kroków dochodzące z prawej strony. Petka skierował się w tamtym kierunku. Szedł, szedł… Dziwił się, że tak gładko mu idzie. Żadnych stworów, mutantów, roślin… Nawet szczurów. Wydawać by się mogło, że idzie zwyczajnym tunelem, takim jak sprzed katastrofy. Ale to przecież niemożliwe, zwłaszcza że te stacje nie były nawet w pełni ukończone i funkcjonalne. Niedługo potem zaczęło mu się kręcić w głowie. Stacji coś nie było widać, ciągle tylko tunel i tunel. Nie wiedział, jak długo już tak idzie, miał wrażenie, że całe godziny, a nawet dni.

Wycieńczony, głodny, ale wciąż dobrej myśli, usiadł na ziemi i oparł się o ścianę. Zamierzał przeżyć i był pewny, że mu się to uda. Nie modlił się do

Boga, twierdził, że nie było takiej potrzeby. To był chłop… Odważny… waleczny… śpiący.

Spało mu się dobrze, jak we własnej wygodnej koi na macierzystej Mendelejewskiej. Śniła mu się matka, piękna kobieta o kasztanowych włosach, i ojczym, starszy mężczyzna pełen werwy. Oboje niestety nie żyli. Petka tulił ich do siebie, rozmawiał. W pewnej chwili mama dała mu kałacha. „Masz, weź to, niedługo znajdziesz się w niebezpieczeństwie". Zdziwiony chłopak przyjął prezent, po czym odwrócił się odszedł tunelem, tym samym, który prowadził na Czystyje Prudy.

Petka obudził się. Wstał, wpatrując się we wszechogarniającą ciemność. Wyprostował się, otrząsnął z resztek snu. Nagle kopnął w coś ciężkiego, co z metalicznym brzękiem uderzyło o ścianę. Młody wymacał przedmiot, zacisnął palce… Nie uwierzycie – to był karabin! Cud jaki, czy co?

Zdziwiony podniósł broń. Najprawdziwszy kałach – jak ten ze snu.

Ruszył przed siebie. Raz, dwa, raz, dwa. Rytmiczne kroki jak w zegarku. Z bronią w ręku rozwiały się jego lęki, teraz nic nie mogło go ruszyć.

Nagle usłyszał przed sobą pomrukiwanie. „Jakieś ścierwo…" – przebiegło mu przez myśl. Miał sokoli wzrok, więc od razu wychwycił sylwetkę czającą się w ciemnościach. Wypalił serią. Petka usłyszał, jak coś jęknęło i przewróciło się na ziemię. I wtedy rozległo się wycie…

Z oddali biegło na niego chyba całe stado. Potwory jeden za drugim wyłaniały się z mroku. Ale on nie poddał się tak łatwo, walczył zaciekle i w końcu wyszedł z tego cało. Pod jego nogami leżały martwe truchła kilkudziesięciu mutantów. A on jak gdyby nigdy nic ruszył dalej.

Po kilku godzinach marszu zatrzymał się. Coś czaiło się przed nim, czuł to w kościach. W pewnej chwili w jego nozdrza uderzył zapach. Był odurzający. Zaczął wąchać, nie mógł się powstrzymać. Przysuwał się coraz bliżej. „Coś niesamowitego…" – pomyślał.

Wtem jakaś macka owinęła się wokół jego łydki. Oprzytomniał. Wystrzelił bez zastanowienia. Uchwyt zelżał, a on ruszył biegiem przed siebie, wymijając roślinę, którą teraz widział doskonale. Rosła tam tylko jedna jedyna w całej okolicy. Zdziwiło go to. Dzisiejsza flora zazwyczaj rozrasta się przecież na wiele kilometrów, opanowując wszystko na swej drodze.

Szedł, próbując dojść w końcu do jakiejś stacji. „Czemu to tyle trwa?" – pytał sam siebie. Oślepił go nagły błysk. Przez jego ciało przeszedł ból. Leżał na ziemi, próbując dojść do siebie. „Anomalia elektryczna" – od razu zrozumiał Petka i zamarł bez ruchu. Leżał tak bardzo długo, w obawie, że porazi go znowu, tym razem śmiertelnie. Jednak w końcu podniósł się z ziemi. Po niebezpieczeństwie nie było śladu. Twardy był z niego chłop i znów skierował się w stronę opuszczonych stacji.

Po długim i wyczerpującym marszu nagle zobaczył przed sobą światło. Chociaż w ciemnościach trudno było to stwierdzić na pewno, bo według jego obliczeń już dawno minął kilka stacji i powinien teraz znajdować się na Marijnej Roszczy. Podszedł bliżej. „Cóż to jest, do cholery… Znowu jakaś anomalia, czy co?" – myślał. Ze zdumieniem zobaczył w tym świetle sylwetkę człowieka… „Jak to możliwe? Tu, na zapomnianej przez Boga stacji?"

– Nie bój się, Petka – usłyszał miły kobiecy głos.

– Ktoś ty? – spytał zdziwiony. Nie był przerażony, tylko po prostu ciekawy.

– To nieistotne… – odezwała się. – Ważne, kim ty jesteś. Brnąłeś tu mimo wszelkich niebezpieczeństw, jakie stanęły na twej drodze. To była próba, przez którą musiałeś przejść, bym mogła uznać, że jesteś godzien mnie zobaczyć. Jesteś odważnym człowiekiem, który nie boi się niczego. Twoje wysiłki zostaną nagrodzone.

– Ale… – Zdezorientowany chłopak niczego nie rozumiał. – Co ty tu robisz? Jak się tu dostałaś?

– Powiem ci tylko, że skazuję ludzi na życie lub śmierć. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – A teraz zaśnij…

Petkę ogarnęła senność. W głowie mnożyły mu się pytania, jednak jego powieki same się zamykały, nic nie mógł zrobić.

Obudził się – pewnie nie uwierzycie – w Polis. W dość dużym, ceglanym domku. Leżał nie na pryczy, a w porządnym łóżku z prawdziwą pościelą! Rozejrzał się po pokoiku. Był bogato przyozdobiony. Na ścianie znalazło się nawet miejsce na mały, namalowany na płótnie obrazek. Na środku postawiono stolik wykonany z ciemnego drewna, a w rogu stała mała biblioteczka z książkami. Pod stopami młody mężczyzna poczuł miękki dywan. Naprzeciwko niego były otwarte drzwi. Rozległ się kobiecy głos.

– Kochanie, śniadanie!

Wszedł do sąsiedniego pokoju, który pełnił funkcję kuchni i jadalni. Przy stole siedziały dwie osoby…

– Dzień dobly, tato… – odezwała się dziewczynka, zeskakując z krzesła i tuląc zdumionego Petkę.

– Wyglądasz, jakbyś nas widział pierwszy raz w życiu – odezwała się kobieta, biorąc z talerza kawałek chleba.

Chleb! Petka nigdy nie miał go w ustach. Zrozumiał wszystko.

– Ciągle wyglądacie olśniewająco, zupełnie jakbym zobaczył was po raz pierwszy – odparł z uśmiechem Petka.

Maciej „doctor” Kóska

Nocny taniec

Noc była wyjątkowo mroźna. Białoszary puch prószył leniwie. Drobne płatki wirowały powoli. Było cicho i spokojnie. Śnieg zalegający w zaspach i łachach odbijał przesączające się przez warstwę chmur promienie księżyca i rozświetlał moskiewskie ulice.

Dwie postacie kluczyły pomiędzy wrakami samochodów. Dwa duchy zagubione w zgliszczach betonowej dżungli. Ludzie działali niczym dwa tryby doskonale działającego zegarka. Szybko, sprawnie, bez zbędnych ruchów. W ich postawie i zachowaniu bez trudu dało się odczytać wojskowy dryg. Pewny chwyt broni gotowej do strzału, strefowe krycie i doskonała synchronizacja.

Stalkerzy przykleili się do kolejnego wraku, sporej furgonetki leżącej na prawym boku.

– No, Wik, co myślisz? – zapytał towarzysza zwiadowca, mierząc przed siebie swoim SR-3.

– Kwadrans i powinniśmy być przy Szabołowskiej – odparł Wiktor Gawriłow. – Trzeba nam tylko dojść do wieży radiowej Szabołowka i po kłopocie.

– Tfu! Żeby nie zapeszyć. – Oleg spojrzał na starszego kolegę.

Ten trzymał swój niezawodny AK-103, owinięty białymi paskami materiału. I jak zawsze na swój ochronny kombinezon miał zarzuconą wysłużoną, szarą kurtkę z szerokim, obszytym futrem kapturem. Mówił, że przynosi mu szczęście. Od dnia Wielkiej Zagłady, kiedy udało mu się

schronić w metrze. To właśnie tę kurtkę miał wtedy na grzbiecie. Była wówczas jego jedynym majątkiem. Teraz stała się talizmanem.

Wik skinął Sorokinowi i obaj jak na komendę poderwali się zza samochodu. To był udany wypad. Dwaj stalkerzy taszczyli w swoich plecakach sporo fantów, które bez wątpienia uda się opłacalnie sprzedać. Byle tylko do Szabołowskiej. Dalej prosto na Oktiabrską i już będą na terenie Hanzy. Tam dwóch wolnych strzelców będzie mogło nieco odpocząć, a później… Później się zobaczy, może kolejny wypad albo jakieś zlecenie.

Czasami przecież lepiej nie planować. Można zapeszyć. Skusić zły los. A po co to człowiekowi w tych czasach? No, po co?

Kolejne metry drogi umykały pod podeszwami ciężkich buciorów. Śnieg skrzył się i skrzypiał w rytm kroków. Lufy automatów omiatały puste, zawalone budynki. Tętniące niegdyś życiem miasto stało się mogiłą dla żyjących w nim ludzi. Ci, którym udało się przetrwać Sądny Dzień, zagrzebali się pod ziemią, rozlali po wielokilometrowych tunelach metra. Powierzchnia od dawna była wymarła, opuszczona. Czy też raczej opuszczona przez ludzi. Nowe formy życia, zrodzone na popiołach dawnej cywilizacji, miały się świetnie i szybko zajęły porzuconą przestrzeń. Zasiedliły nowe tereny, niepomne na dawnych panów niegdyś zielonej planety.

Oleg i Wiktor niespiesznie mijali ruiny kolejnych budynków. Niektóre zdawały się nietknięte przez czas i żywioły, jedynie pustką okien i drzwi oznajmiając, że od ponad dwudziestu lat żaden człowiek nie mieszka w ich wnętrzu. Inne rozrzuciły wokół siebie gruz, niczym kości, i stalkerzy musieli je omijać albo wspinać się na pokryte śniegiem hałdy.

Białoszary puch skrzył się dookoła. Mężczyźni ostrożnie mijali kolejne przeszkody, powoli pokonując kolejne fragmenty drogi. Wiedzieli, że na powierzchni pośpiech mógł być równie zabójczy, co kula z karabinu. Przez dwie dekady Ziemia zaroiła się od tak wielkiej liczby nowych niebezpieczeństw, że każdy, kto chciał zachować zdrowe zmysły, wolał ich sobie nawet nie wyobrażać.

W poprzek drogi stała do połowy zasypana śniegiem ciężarówka. Do zejścia na Szabołowską zostało może trzysta metrów. Wiktor podbiegł do przeszkody. Przyklęknął i omiótł wzrokiem teren, który przebyli. Dał znak dłonią swojemu towarzyszowi. Oleg ostrożnie ominął wrak i… stanął jak wryty.

Na środku drogi tańczyła mała dziewczynka. Wirowała szybko, z rozpostartymi na boki rękami. Jej jasne, poderwane do lotu pszeniczne włosy otaczały głowę. Błękitna letnia sukienka rozlewała się wokół dziecięcej talii.

Nisko pochylony Wik wciąż ubezpieczał tyły. Wyszedł zza ciężarówki odwrócony. Ponownie przyklęknął obok swojego partnera.

– Oleg, co się dzieje? – spytał, zdziwiony zachowaniem przyjaciela.

Zerknął za siebie. Skryte za wizjerem maski oczy natrafiły na tańczące dziecko.

– Spieprzamy – zasyczał.

Sorokinowi, który otrząsnął się z pierwszego szoku, nie trzeba było powtarzać. Cofnął się za Gawriłowa i zajął miejsce do strzału, ubezpieczając odwrót towarzysza. Dziecko wciąż wirowało w tym samym miejscu. Stalkerzy cofali się krok za krokiem. Przyklejeni do swojej broni uważnie rozglądali się na boki, wypatrując niebezpieczeństwa. Nie mieli pojęcia, jaki gatunek stworzeń potrafił wywołać tak rzeczywiste omamy. Zapewne ktoś inny nie oparłby się pokusie i podszedłby bliżej. Wyszedłby

na otwartą przestrzeń. Sprawdził. Mężczyźni byli jednak zbyt doświadczeni. Ich oczy widziały już niejedno dziwactwo. Niejedną śmierć. Cofali się. Lufy automatów omiatały mijane budynki.

Przecież sami wiecie, ile teraz po powierzchni czy tunelach kręci się tego cholerstwa. Nikt, choćby i chciał, nie spamięta. Ileż to już razy człowiek widział coś, co się później po nocy śniło. Ileż to razy otarł się o śmierć… No ale wróćmy może do rzeczy. Tylko ludzie… polejcie, bo gardło suche.

Okno. Okno. Drzwi. Witryna. Okno. Coś przemknęło na krawędzi pola widzenia. Skrzeczący głos Wichra. Pierwsza bestia padła martwa, skoszona celną serią. Kolejnych na razie nie było widać. Chude ciało pokryte siną skórą zwaliło się na chodnik. Długie, zakończone ostrymi pazurami kończyny podrygiwały w ostatnich spazmach agonii.

– Czort by to – rzucił Wik. – Spadamy!

Stalkerzy zdwoili czujność. Poderwali się do truchtu, znikając pomiędzy zabudowaniami. Byli zbyt blisko zejścia do metra, aby zawrócić. Jeśli obejdą feralny obszar, powinno im się udać podejść pod Szabołowską od tyłu.

Kolejna pokraka wypadła z pustego otworu drzwi. Tym razem jej żywot skończyła oszczędna seria 103-ki. Czarna kałuża krwi rozlała się po śnieżnym dywanie. Oleg zarejestrował kolejny ruch.

– Na jedenastej! – krzyknął.

Jego głos był zniekształcony przez filtry maski. Huk kolejnych strzałów rozdarł głęboką ciszę nocy. Bestia padła martwa. Jednak do stalkerów dotarło, że nie pozbędą się tak łatwo niechcianego towarzystwa. Dostrzegali coraz więcej ruchu wokół siebie. Na granicy widzialności. Zwinne kształty, przemykające pomiędzy cieniami. Najdziwniejsze było to, że nadal nie odczuwali żadnego oddziaływania na swoją psychikę. A przecież stwór, czy

stwory, które potrafią stworzyć tak realną halucynację, powinny potrafić wpływać na ludzką świadomość. Nie żeby stalkerom przeszkadzał taki obrót spraw, niemniej jednak zawsze lepiej być przygotowanym na najgorsze.

Oleg i Wiktor przebijali się przez coraz częściej atakujące potwory. Jednak każdy pokonany metr przybliżał ich do zbawiennych ciemności metra. Kolejny krok. Kolejny strzał.

– Zmieniam – rzucił Wiktor, chowając się za plecy Sorokina. Sprawnie wyłuskał magazynek z ładownicy. Z głuchym trzaskiem wprowadził go do gniazda, przeładował. Strzały rozświetliły mrok nocy. Czające się wokół stwory nawoływały się wzajemnie. Stalkerzy oddychali ciężko. Parli naprzód.

– Granat! – krzyknął Oleg, rzucając metalową cytrynę w wyrwę pomiędzy dwoma budynkami, skąd dochodziły wyraźne odgłosy gotujących się do ataku mutantów.

Mężczyźni rzucili się na śnieżny dywan. Zwielokrotniona echem, zatykająca uszy detonacja zagłuszyła przedśmiertny wrzask maszkar. Gawriłow i Sorokin poderwali się do biegu. Właśnie kupili sobie kilka cennych sekund. Jeszcze tylko trochę. Tak niewiele dzieliło ich od zejścia na Szabołowską. W przejściu pojawił się szary kształt. Szczeknęła krótka serii z SR-3. Stalkerzy przeskoczyli nad drgającym w agonii ciałem.

Po zdawałoby się całej wieczności, wypełnionej strzałami i krzykiem nocnych mutantów, Oleg z Wiktorem wypadli na plac przed zejściem na stację. Gawriłow ujrzał kątem oka jakiś ruch. Odwrócił tam głowę i lufę swojej broni. Ubrana w błękitną sukienkę mara tańczyła na ulicy, idealnie na wprost podziemnego wejścia.

– A to sucz – syknął stalker. – Czort by cię wziął!

Oszczędna seria poleciała w stronę jasnowłosej. Sorokin nawet nie popatrzył w tamtą stronę. Dopadł schodów ciągnących się w dół. Biegł. Zaczął walić ze wszystkich sił w hermetyczną gródź, krzyczał. O dziwo wrota otworzyły się niemal natychmiast. Dwaj strażnicy zlustrowali biegnące do góry wyjście na powierzchnię. Drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem. Stalker zerwał z twarzy maskę. Dyszał ciężko.

– No, udało się, co, Wik? – rzuca w stronę swojego towarzysza.

Uzbrojeni mężczyźni stojący przy wejściu na stację popatrzyli na niego krzywo. Sorokin wyprostował się niczym na musztrze. Rozejrzał się wokół. Jednak Wiktora nie było nigdzie w pobliżu. Przecież biegł zaraz za nim. Oleg wyraźnie słyszał stukot jego ciężkich buciorów na schodach, jego głośny oddech, kiedy czekali te kilka chwil po drugiej stronie grodzi.

– Nie! – wrzasnął stalker.

Stojący najbliżej ludzie odwrócili się w jego stronę i odsunęli się przestraszeni.

Mężczyzna rzucił się w stronę zamkniętych wrót prowadzących na powierzchnię. Dwaj masywni strażnicy złapali go za kombinezon i odciągnęli.

– Puśćcie – bełkotał Oleg. – Ja muszę! Muszę wrócić!

Ciosy pałek i pięści spadały na nieosłoniętą głowę i brzuch. Stalker jeszcze się szamotał, jeszcze walczył, starając się wyrwać. Jednak był zbyt osłabiony po tym, co zaszło tam, na górze. Spadły na niego kolejne ciosy.

Sorokin stracił przytomność.

Ciemność.

***

To wszystko opowiedział mi właśnie Oleg, kiedy ledwo żywy dotarł do Oktiabrskiej. Brudny, obdarty, bez sprzętu. Nie pamiętał, jak pokonał tunel

dzielący go od terenów Hanzy.

Kiedy go spotkałem, ledwo go poznałem. Błagał mnie, abym poszedł na Szabołowską i udał się na powierzchnię po Wika. I uwierzcie, dałem mu się namówić. Spiknąłem jeszcze jednego wolnego chłopaka i razem z nim pomaszerowałem tą samą drogą, którą niedawno pokonał Oleg. Nie liczyłem, że odnajdę żywego Wiktora. Nie. Jednak byłem ciekaw, co się stało ze starym stalkerem. Co się stało z tachanymi przez niego gratami. No, rozumiecie przecież.

Wyszliśmy więc na powierzchnię, prosto w lodowate objęcia kolejnej zimowej nocy. I, wierzcie lub nie, pośród sypiących się z nieba śnieżnych płatków wirowała szara kurtka z kapturem obszytym futrem. Zupełnie jakby miało ją zarzuconą na ramionach jakieś dziecko.

Ciszę nocy przerwał huk strzałów, gdy stojącemu obok chłopakowi puściły nerwy. Ja, wstyd się przyznać, uciekłem od razu.

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek w swoim życiu biegł tak szybko. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek tak się cieszył, widząc żywych ludzi, nawet na najbardziej obskurnej stacji. Dopiero kiedy zamknęły się za mną drzwi prowadzące na powierzchnię, zauważyłem, że poza mną i dwójką wartowników pilnujących wrót w pobliżu nie ma nikogo więcej.

Tak sobię teraz myślę, że te stwory, które zaatakowały Sorokina i Gawriłowa, niewiele miały wspólnego z tą tańczącą marą. Oj niewiele.

Tseena

Sprawiedliwość dla wszystkich

Lew krążył niespokojnie. Wiedział, co musi zrobić, i wiedział, że nie będzie to łatwe dla nikogo. Nie spał od dwóch dni, ale zdawał sobie sprawę, że będzie musiał znaleźć siły, by wygłosić przemówienie.

Przetarł dłońmi zmęczoną twarz, poprawił wygnieciony mundur, chociaż efekt i tak był mierny. Nadal wyglądał, jakby dopiero co powstał z grobu.

Mężczyzna zaplótł dłonie na karku i oparł się o ścianę, jak zawsze gdy intensywnie myślał. Jeszcze raz analizował niuanse planu, które musiały być idealnie zgrane, by nie ponieść klęski. Jeśli coś nie wypali, nikt nie będzie miał drugiej szansy. Nie od czerwonych.

– Towarzy… – Człowiek, który otworzył drzwi do gabinetu, zawahał się, speszony. – Panie Swoboda. Już czas.

– Dzięki, Dima. – Lew przeczesał dłonią długie, czarne, sięgające ramion włosy i przygniótł je beretem, zanim znów wymknęły się spod kontroli. – Zaraz wyjdę.

Gdy żołnierz opuścił gabinet, Lew ostatni raz przygładził mundur i wziął kilka głębokich wdechów. Wyszedł, starając się wyglądać jak najspokojniej.

Trafił wprost na peron, na którym gromadziły się dziesiątki ludzi. Tłum był zachwycony widokiem przystojnego mężczyzny w kapitańskim mundurze, nieogolonego i niewyspanego, ale jednak przywódcy. Ich przywódcy.

Lew od razu stanął na skrzyni, pełniącej rolę podium. Widział z niej twarze wszystkich. Zarówno swoich ludzi, jak i tych klęczących

i skrępowanych. Uciszył zebranych jednym ruchem ręki. Darzyli go ogromnym szacunkiem, chociaż on sam uważał, że nie zasługuje na niego ani trochę.

– Zanim przejdę do części właściwej, musicie coś wiedzieć! – zaczął. – Mniej więcej pół godziny temu zdarzył się tragiczny wypadek. Frunzeńska… została niemal całkowicie zniszczona. Doszło tam do eksplozji składu paliwa. Większość mieszkańców zginęła… – Lwu przechodziły przez myśl najgorsze obrazy. Rozrywani i paleni żywcem żołnierze, robotnicy, kobiety i dzieci. Małe, zwęglone ciała… Wstrząsnął nim dreszcz. Zanim zdążył dokończyć, tłum zaczął wrzeszczeć.

Ludzie wyli z zachwytu. Wszyscy razem i każdy z osobna. Skakali w euforii, ściskali się i gratulowali sobie, jakby to była ich osobista zasługa. Kapitan Swoboda czekał, aż ucichną choć trochę, aby mógł dopowiedzieć:

– …a nasze siły właśnie przejmują stację!

Uśmiech od ucha do ucha zagościł na twarzy Lwa. Teraz już w żadnym wypadku nie uda mu się uciszyć zgromadzenia, mógł tylko podsycić ich upojenie. Ogniem.

Dima podał Lwu czerwoną flagę, a ten uniósł ją wysoko nad głowę.

Pozwolił, aby symbol komunizmu strawiły płomienie.

Ludzie skandowali: „Wolność! Swoboda!”.

Nie był pewny, czy chodzi o jego nazwisko, czy o to, czego tak bardzo pragnęli.

Jednak powód i tak był ten sam.

Sportiwna była od dziś stacją niezależną.

***

Andriej maszerował raźno. Wszyscy młodzi szeregowcy byli w sielankowych nastrojach, jedynie sierżant, który miał już trochę zim na

karku, smęcił coś pod nosem.

Połowa stanu IV Kompanii Zwiadu im. Aleksandra Matrosowa wyruszyła wczoraj, tuż po zdradzieckim ataku na Frunzeńską. Trzydziestu młodych ludzi, trzech podoficerów i jeden porucznik, to wszystko, na co mogła sobie pozwolić Armia Czerwona. Siła dość znaczna, ale nie wiedziano, jak źle było w eksklawie, i nie sposób było się tego dowiedzieć inaczej niż zwiadem. Zaledwie na tyle zgodziła się Hanza, i to w zamian za całkiem sporą liczbę naboi – każdy z żołnierzy zostawił na granicy po pełnym magazynku. Tylko tak mogli się dostać do miejsca przeznaczenia.

Andriej cieszył się na wojnę. Miał siedemnaście lat i to byłaby jego pierwsza. Od dwóch lat się szkolił i uważał się za naprawdę dobrego wojownika. Marnował się w koszarach.

Czerwonoarmiści śpiewali i opowiadali sprośnie żarty. Aż do Frunzeńskiej, gdy ktoś nakazał im zawracać i groził ostrzałem. Przeraźliwie jasne światło oślepiało, ludzie celowali w Andrieja i jego kolegów z różnorakiej broni, od pistoletów po kałachy.

Rozkazy mówiły, żeby najpierw się pokazać i ustalić nastawienie ludzi na stacji. A w razie potrzeby – działać. Plan miał jednak tę wadę, że zostaliby zdziesiątkowani, zanim znaleźliby osłonę. Martwiło to i Andrieja, i jego zwierzchników.

Porucznik poszedł na rozmowę z dowódcą tamtych. Wrócił po kwadransie.

– Mamy wojnę, chłopaki – powiedział smutno, lecz jego ludzie zaczęli się uśmiechać. Gdy to spostrzegł, dopowiedział jeszcze:

– Nie cieszcie się na zapas. Walczycie z braćmi.

Żołnierzom zrzedły miny. Przecież mieli walczyć ze zdrajcami, ku chwale Linii Czerwonej i towarzysza Moskwina. Jacy bracia?

Tylko do co niektórych dotarło, co to oznaczało. Ci zrozumieli też, że za te słowa porucznika spotkają przykre konsekwencje. Kapusie są wszędzie.

Zwiadowcy oddalili się od stacji do jednego z bocznych tuneli, gdzie umocnili się, tworząc tymczasową bazę i sztab. Po kilku godzinach nudy porucznik zebrał wszystkich, w końcu zaczęło się coś dziać.

– Czas działać – oznajmił krótko.

Zaczął wydawać rozkazy, a ludzie rozbiegali się, by je wykonać jak najprędzej.

***

Jak do tego wszystkiego doszło? Swoboda nie miał złudzeń. Basmanow przegiął i to ostatecznie. Życie stało się nieznośne, nawet śmierć nie rozwiązywała wszystkich problemów. Naczelnik był bezdusznym sukinsynem, a każdy z jego podwładnych − jego wierną kopią.

– Gnój bez serca – wyszeptał, pociągając za spust.

Był to jeden z ocalałych wartowników, psów naczelnika Basmanowa. Związane ciało padło na posadzkę z dziurą w tyle czaszki.

Lew podszedł do następnego człowieka klęczącego ze skrępowanymi rękami. Kwatermistrz.

Wydzielał takie racje, aby człowiek nie umarł, ale również i nie mógł żyć. Znów pociągnął za spust. Był nieświadomy tego, że przypatruje mu się cała stacja. Napawał się zemstą.

Stanął przed komisarzem. Za każde samobójstwo nakładał sankcje na rodziny. Za brak przeciwdziałania wobec zamiaru popełnienia przestępstwa przeciw Linii Czerwonej – celowego zmniejszenia populacji. Osobiście wybił połowę stacji. Swoboda strzelił mu dwukrotnie w brzuch.

Basmanowa zostawił na koniec. Ale on nie należał do niego. Przeciął mu więzy i pchnął w stronę gapiów.

– Sprawiedliwość dla wszystkich! – krzyknął, gdy naczelnik był katowany.

Poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Dima.

– Już? – zapytał się swojej prawej ręki. Ten skinął mu głową.

Lew roztarł nadgarstki, otarcia po kajdanach jeszcze bolały. Objął rękami własny kark, po czym ruszył w stronę tunelu. Dima mu towarzyszył.

– Czerwoni stoją pod Frunzeńską. Koło pięćdziesiątki.

– Domyślałem się. Ilu naszych tam mamy? – chciał wiedzieć kapitan.

– Tuzin; sami ochotnicy. Jak kazałeś.

Swoboda smutno pokiwał głową. Szanse na powrót któregokolwiek z nich na Sportiwną po szturmie czerwonych były równie duże, jak to, że za rok ludzie znów zasiedlą powierzchnię. Nie chciał skazywać ich na śmierć, ale było to konieczne. Miał nadzieję, że wytrzymają na tyle długo, aby plan się powiódł.

Szli tunelem dość długo, aż skręcili w jakąś odnogę. Było tam niewielkie pomieszczenie, a w nim dwóch ludzi w garniturach. Robili wrażenie. Wyglądali jak żywcem wzięci ze świata sprzed dwudziestu lat.

– Pawłow i Kryski – przedstawił ich Dima. – To jest właśnie Swoboda – wskazał na Lwa.

Mężczyźni byli wysokimi, ponurymi typami. Dobrze odżywieni, mówili trochę nietypowo. Używane przez nich sformułowania były zbyt górnolotne.

Dima musiał opuścić pomieszczenie. Spotkanie było tajne. Oparł się o drzwi i wygwizdywał jakąś melodię, gdy kula roztrzaskała mu kość policzkową.

W tym samym momencie negocjacje z przybyszami urwały się. Lew zdążył zastrzelić Kryskiego, ale jego towarzysz rzucił nożem w gardło

przywódcy buntowników, kończąc tym samym jego przygodę z powstaniem.

– Trzeba było nas nie szukać – powiedział Pawłow, stanąwszy nad wykrwawiającym się Swobodą.

***

IV Kompania wkroczyła na Sportiwną. Po przełamaniu kruchej obrony poprzedniej stacji dotarli tu niemal bez przeszkód. Stracili siedmiu ludzi. Frunzeńskiej broniło dziesięciu, wszystkich wytłukli.

Swoisty niepokój nie opuszczał Andrieja. Nie było tu żywej duszy, podczas gdy powinni walczyć o każdy metr tuneli. Zasadzka? Możliwe.

Wyszli na peron. Tu i tam leżało kilka ciał z ranami po kulach, wszędzie krew i ślady walki. Tylko trupów było za mało… Powinna być tu co najmniej setka ludzi. Stacja nie wymarła ot tak sobie. Kilku kolegów Andrieja badało martwych. Rozwiali ostatnie wątpliwości – ktoś zaatakował ich z drugiej strony. Ludzie. Czyżby bunt wśród buntowników? To było raczej mało prawdopodobne.

Czerwonoarmiści badali stację ponad godzinę. Nie ustalili nic konkretnego, poza tym, że stacja była opuszczona. Rozłożyli obóz na peronie, spędzili na stacji kolejny dzień. Zanim zdążył zbudzić ich porucznik, zrobiło to coś innego.

Z tunelu prowadzącego do dawno porzuconej stacji Worobjewy Gory dochodziły jęki. Andriej został wyznaczony do sprawdzenia źródła odgłosów. Jakiś mężczyzna czołgał się rozpaczliwie w stronę Sportiwnej. Ciągnął się za nim krwawy ślad i miał okrutnie zmasakrowaną twarz. Coś niemal oderwało jej prawą stronę.

– Kim jesteś? – zapytał żołnierz, mierząc w tamtego z kałasznikowa. Choć nie wyglądało na to, że mężczyzna będzie w stanie mówić,

wychrypiał z trudem:

– Dmitrij. Jestem Dmitrij…

Andriej nie wiedział co robić. Dobić rannego? Nigdy nikogo nie zabił. Odłożył karabin i podał Dmitrijowi wodę. Wlał mu ją do ust, prosto z manierki. Ranny zakrztusił się. Trochę się ożywił.

– Dziękuję…

Dariusz „Stalker1982” Szczepański

Obietnica

Paszka nie mógł się nadziwić, że to właśnie ten mężczyzna opowie teraz historię. Z początku w ogóle nie wziął go za człowieka, a jedynie za stertę szmat, rzuconą byle jak na ziemię. Miał szarą skórę i przekrwione oczy. Wyglądał, jakby rozkładał się co najmniej od kilku dni, i tak też pachniał. Ręce mu się trzęsły, a kiedy próbował dosiąść się do ogniska, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Czarnobrody pomógł mu usiąść, gdy ten starał się opanować drżenie ciała. Miał długą, zaniedbaną brodę i włosy, których najwyraźniej nie strzygł od lat. Gdy drapał się po głowie, ludzie uciekali od wszy. Cuchnęło od niego samogonem i o wiele gorszymi specyfikami.

– O, patrzcie, kto przylazł – zadrwiła młoda kobieta. – Znowu się zacznie.

I owszem, zaczęło się. Z początku menel mówił bełkotliwie, ale w miarę jak się rozkręcał, mówił płynniej i łatwiej było go zrozumieć.

– Czy znajdzie się u was miejsce dla starego i zmęczonego szczura? Chociaż powinienem rzec raczej: dla dogorywającego kundla, którego dni są już policzone. Idę z bardzo daleka. Z miejsca, gdzie ciężko o ogień. Czy wiecie, co to jest piekło? Żyję w nim od dziewiętnastu lat, bo uwierzyłem w człowieczeństwo. Przyszedłem do was aż z Kubinki, jako banita, jako człek wyklęty. Historię, którą noszę w sobie, pragnę przekazać dalej, bo wszyscy, którzy ją znali, zabrali ją ze sobą do grobu. Chcę odejść z czystym sumieniem. Opowiem wam o bohaterze, który zmienił losy metra. O człowieku, który je uratował, a sam zapłacił najwyższą cenę. Opowiem

wam o bólu niespełnionej miłości, kłamstwie i niesprawiedliwości Świata Popiołów, w którym przyszło nam egzystować. Opowiem, bo czasu mam naprawdę niedużo. – Zakaszlał i przysunął się bliżej ognia. Wyciągnął przed siebie swoje zziębnięte dłonie i wziął mały łyk z manierki, którą wyjął spod zniszczonej kurtki pilotki.

– Dziewiętnaście lat temu, kiedy metro dopiero się kształtowało, a ja sam byłem silnym i zdrowym oficerem wywiadu Origo…

– Jakiego znowu Origo? – zaoponował jeden ze słuchaczy. – Tu nie było nigdy takiej stacji.

– Mówię przecież, Origo. Pierwszej administracyjnej stacji całego metra. Stacji, która pięć lat później wyewoluowała w stolicę i zmieniła nazwę na Polis.

– Stary, coś ty wąchał? Polis jest tu od zarania dziejów! – znów wtrącił się inny głos.

Lecz wędrowiec, nie zważając na komentarze zgromadzonych, opowiadał dalej.

– Ludzie nie zdawali sobie kompletnie sprawy z zagrożeń nowego świata. My sami go jeszcze wtedy nie znaliśmy, a co dopiero przeciętni zjadacze chleba. Tak, oni kompletnie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak wygląda życie tam, na powierzchni. To my karmiliśmy ludzi tym, co widzieliśmy, lub ukrywaliśmy przed nimi to, co chcieliśmy zachować dla siebie. To my decydowaliśmy, co będzie dobre dla ocalałej społeczności. Tylko my mieliśmy potrzebny sprzęt, wyszkolonych ludzi i tylko my byliśmy na tyle szaleni, by wychodzić na górę. I tylko my posiadaliśmy na tyle duży autorytet i odpowiednią machinę propagandową, by stworzyć świat, jaki chcieliśmy.

Mężczyzna znów łyknął z manierki i wyciągnął skręta. Rozejrzał się wokół i po chwili chwycił cienki patyk, którego koniec żarzył się

w ognisku. Przystawił go do prowizorycznego papierosa, pociągnął kilka razy, a tytoń niewiadomego pochodzenia soczyście zaskwierczał. Tajemniczy mężczyzna głęboko się zaciągnął, wypuścił z ust gęsty, siwy dym i momentalnie znów zaczął kaszleć. Kiedy kaszel minął, starzec przetarł szeroko usta i rozsmarował po nich krew. Wszyscy popatrzeli na niego w skupieniu i stosownie milczeli.

– A niech go diabli, to pewnie rak płuc… Ale ja nie o tym. No więc, na czym to ja skończyłem? Aha, no i bardzo długo karmiliśmy ludzi kłamstwami, że na powierzchni grasują mutanty, kanibale i rosną zmutowane, łaknące krwi rośliny. Jakby się dobrze zastanowić, to nie wyrządzaliśmy ludziom tymi kłamstwami żadnej krzywdy, bo na powierzchnię i tak nie było sensu wychodzić, nic tam nie było, oprócz ruin rzecz jasna. Tym samym udało nam się powstrzymać szaleńców, którzy zaczynali wariować pod ziemią i twierdzili, że na powierzchni da się normalnie żyć.

Popatrzył na starszych słuchaczy tej wieczornej spowiedzi i dodał:

– Pewnie kilku z was także pamięta, jak ludzie wówczas myśleli. Uważali, że to, z czym zetknęła się cała ludzkość, było tak niedorzeczne i nieprawdopodobne, że to po prostu nie mogło się stać. Myślano, że to, co się dzieje, to jakaś zbiorowa halucynacja, masowa histeria i że Dzień Wielkiego Płaczu to jakiś eksperyment. Ludzie naprawdę wierzyli, że tylko Moskwa została zniszczona. Musieliśmy ciężko pracować, by żaden idiota nie otworzył bezmyślnie śluzy i nie zabił wszystkich mieszkańców. Łatwo było wtedy tworzyć opowieści o mutantach, chociaż żadnego wtedy nie było. To, co teraz tam biega na czterech czy pięciu łapach, ma dwa metry wysokości i zęby jak gwoździe, wtedy zapewne było maleńką kijanką, która w drodze kilkunastoletniej ewolucji przybrała kształty jak z najgorszego koszmaru. Jednak na samym początku naszym największym

wrogiem był inny człowiek. Wygnany i odrzucony przez naczelników Origo żołnierz, który chciał stworzyć jedno imperium i mianować się jego cesarzem. Generał Gawrił Haimow. On i setka ludzi, którym wystarczyło jedno jego skinienie, by pójść za nim. Zajęli Akademię Wojskową im. Michaiła Frunzego, która zachowała się niemal w idealnym stanie. Jej grube mury i piwnice chroniły przed promieniowaniem, a magazyn był wypełniony po brzegi żywnością. Niedaleko ich kryjówki nie wiedzieć skąd oddział Haimowa znalazł pancerną ciężarówkę wypełnioną ciężką bronią i ładunkami wybuchowymi. Idealny prezent dla wojskowego. Szczególnie tak niebezpiecznego jak Haimow. Naszemu wywiadowi udało się ustalić, że niedługo będą szykować się do szturmu. Staraliśmy się jak tylko się dało chronić metro, tym bardziej że Haimow chciał wysadzić główne grodzie. Chyba nie muszę mówić, co by to oznaczało dla wszystkich ocalałych. Trzeba było zrobić porządek z tym maniakiem od razu. Potem byłoby już za późno.

Przybysz zaciągnął się ostatni raz skrętem, po czym wrzucił go do ogniska. Wypuścił dym, tym razem bez kaszlu, i kontynuował.

– Na powierzchni toczyła się regularna bitwa między nami a ludźmi generała Haimowa. Siedzieliśmy w okopach, pośród ruin starego świata, narażeni na śmiercionośne promieniowane. Nie mogliśmy dopuścić, by jego wojsko zbliżyło się do wrót. Mimo że mieliśmy więcej ludzi, przegrywaliśmy każdą potyczkę. Dysponowali zbyt dużą siłą ognia. Było coraz gorzej. Potrzebowaliśmy cudu. Tamtego dnia już tylko metry dzieliły Węże, jak ochrzcił swoją armię generał Gawrił, od wysadzenia zapory. Ale tamtego dnia pojawił się również On.

Zaciekawieni słuchacze nachylili się bardziej i zmarszczyli czoła.

– On? Czyli kto? – zapytał któryś ze słuchaczy.

– On. Po prostu On. – Mówiąc „On”, starszy mężczyzna zamknął oczy i westchnął boleśnie. Po chwili opowiadał dalej.

– Leżałem w okopie przykryty trupami moich wyrżniętych towarzyszy. Modliłem się do Boga o szybką śmierć. – Mężczyzna ściszył głos, znów zamknął oczy, na chwilę przeniósł się z powrotem do tamtego dnia i niczym w transie znów zaczął mówić.

– Zamknąłem oczy, czekając na śmierć, ale ona wtedy po mnie nie przyszła. Usłyszałem huk wystrzału rozdzierający powietrze i padło na mnie dwóch wojaków Haimowa. Obaj mieli przestrzelone głowy. Tak, tak, dobrze słyszeliście. Dwóch za jednym zamachem. Leżąc w dole, nie widziałem za bardzo, co się działo tam w górze, ale potem padło jeszcze kilka strzałów i po chwili słyszałem już tylko szalejący wiatr. Gdy wygrzebałem się z okopu, moim oczom ukazało się pole usiane trupami Węży. Dwudziestu chłopa z rozwalonymi czaszkami. Reszta ich oddziału, widząc, co się dzieje, dała dyla, a ja nie mogłem dojść do siebie po tym, co zobaczyłem. Ogarnęła mnie panika, przecież nie wiedziałem, czy sam zaraz nie dostanę kulki w głowę. Zerwał się jeszcze większy wiatr i nagle huknęło tak, że aż nogi mi zadrżały i upadłem na kolana. Pioruny waliły na ciemnym, wypalonym od atomowego ognia niebie, a deszcz był tak gęsty, że można go było kroić. Wtedy z ciemności wyłoniła się smukła, wysoka na metr osiemdziesiąt postać. Odziana była w ciemną wojskową pelerynę z kapturem. Twarz zakrywała czarna maska gazowa model 3200 MSA. W ręku mężczyzna niósł karabin snajperski SV-98 z wygrawerowaną na kolbie trupią czaszką. Szedł powoli w moją stronę. Szedł tak, jakby nie należał do tego świata. Byłem w takim szoku, że mógłbym nawet powiedzieć, że lewitował wtedy nad ziemią.

– Ty, koleś – przerwał mu jeden ze słuchaczy – a może ty nawalony byłeś jak zawsze, co? Jeden strzał na dwie bańki? Jakiś cholerny, lewitujący nad

ziemią Wasilij Zajcew? Armia fanatycznych sołdatów z piekła rodem i ich pieprznięty generał, którego imienia w życiu nie słyszałem, a żyję tu już dwadzieścia lat? Coś bredzisz.

Przybysz popatrzył srogo na swojego prześmiewcę i wycedził stanowczo:

– Zamilcz, szelmo, a jeżeli masz tyle odwagi, by nazywać mnie kłamcą, to powtórz to jeszcze raz; jak mi Bóg miły, rozpłatam cię jak świniaka. Mężczyźni popatrzeli groźnie po sobie i wtem jakaś kobieta krzyknęła:

– Spokój, Borys! Nie psuj atmosfery. Znam tę opowieść, jest fajna. No już, napij się i nie marudź. Czy nasz szanowny gość życzy sobie odrobinę samogonu?

Borys machnął ręką, a przybysz kiwnął głową i uroczo się uśmiechnął do starszej kobiety w długiej sukni, która podała mu plastikowy kubek wypełniony palącą cieczą. Nie zauważył nawet, co powiedziała: „znam tę opowieść”.

– Na zdrowie! – Przybysz wychylił kubek bez najmniejszego skrzywienia i strząsnął nim zwyczajowo w dół, by wyleciała ostatnia kropla. Przetarł usta i wyciągnął kolejnego skręta, którego odpalił w ten sam sposób jak poprzedniego.

– Pogoda była wyjątkowo okropna, więc On zaproponował, byśmy poszli do niego. To znaczy do jego bazy, jeśli tak to mogę nazwać. Nie szliśmy zbyt długo, bo jego mały przybytek mieścił się w mocno zniszczonym wieżowcu Merkury, niegdyś najwyższym w całej Europie. Wtedy stała tylko jego połowa, dzisiaj jeszcze mniej. Jego domem był pokój antywłamaniowy, zbudowany za kilkumetrowej grubości ścianą. W środku wciąż działały filtry powietrza, więc można było tam spokojnie oddychać. Stało tam tylko łóżko, mała kuchenka gazowa, kilka świec i jedna książka, „Sztuka wojny”. Kiedy zdjął maskę, moim oczom ukazał się piękny, najwyżej siedemnastoletni chłopiec. Klnę się na Boga, miał taką czystą

i niewinną twarz. Jak aniołek. Jego długie do ramion ciemnoblond włosy idealnie pasowały do ciemnych oczu, podkreślonych przez gęste, równie ciemne brwi. Gdy spytałem, jakim cudem w ogóle tu przeżył, odparł tylko, że miał szczęście. A na pytanie, skąd ma swój karabin i kto go nauczył tak się nim posługiwać, odarł równie krótko: „Ojciec". Chciałem się dowiedzieć, jak ma na imię. „Ja nie mam imienia – odparł. – Umarło rok temu. Umarło w chwili śmierci mojej matki, mego ojca i mojej maleńkiej siostrzyczki. Płomienie wymazały moje imię z księgi żywych. Nie mam imienia, by śmierć nigdy mnie nie dopadła. Jedyną osobą, która może odebrać mi życie, jestem ja. Albo sam Szatan". – Zapytałem go także, czemu mi pomógł. „Wiem, że oni są źli – wyjaśnił. – Poza tym byłeś sam, a ich tak wielu. Zostawić cię na pastwę losu byłoby niehonorowo".

Przybysz zaciągnął się skrętem i zamyślony wypuścił powoli obłok dymu.

– Byłem pod wrażeniem tego, co mówił ten chłopak. Prawdziwy rycerz, jak za dawnych czasów, mimo tak młodego wieku. Zapytałem także, czemu nie chce żyć z nami w metrze, a on chłodno odparł: „Duszę się tam. Potrzebuję przestrzeni i przenikam do was tylko wtedy, kiedy potrzebuję pewnych rzeczy. Poza tym… kocham jedną kobietę. Kocham ją nad życie, chociaż w ogóle jej nie znam. Wiem tylko, że jest przeznaczona innemu mężczyźnie. Nie chcę się do niej zbliżać, bo boję się, że musiałbym zabić jej wybranka, jej ojca i prawdopodobnie także ją samą. Ale nie mogę też żyć spokojnie obok i patrzeć na to wszystko". Zamurowało mnie. Zapytałem go, cóż to za niewiasta. A on odparł: „Wiem tylko, że nazywa się Arina. Jest córką jednego z przedstawicieli waszej największej stacji". Boże miłosierny, pomyślałem tylko. Przecież jemu chodziło o Arinę Klimowicz. Jedyną córkę generała Arkadija Klimowicza. Najwyższy urzędnik w Origo obiecał oddać swoją piękną córkę Dymitrowi Antonowiczowi, innej bardzo ważnej personie z Kurskiej. Szesnastoletnia dziewczyna miała być oddana

czterdziestoletniemu mężczyźnie w zamian za pomoc w stworzeniu potężnej linii handlowej, która zresztą powstała w wyniku późniejszych wojen i konfliktów. Tak kochani, mówię o Hanzie. Pomyślałem wtedy, że upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu. Ten niesamowity myśliwy pomoże nam rozprawić się z Haimowem, a ja przekonam starego Klimowicza, by oddał swój największy skarb w dużo bardziej odpowiednie ręce. Przynajmniej moim zdaniem. Od razu przeszedłem do rzeczy. Nakreśliłem chłopakowi, jak się ostatnio sprawy mają. Obiecałem mu, że przekonam starego Klimowicza, by Arina po wojnie z Wężami została jego żoną. Wierzyłem, że generał Arkadij pomyśli racjonalnie i dokona należytej wymiany. Złożyłem chłopcu obietnicę i pobiegłem czym prędzej do Orgio, by zameldować o wszystkim najwyższej radzie. Na spotkaniu pośród najbardziej zaufanych ludzi zapadła decyzja. Generał Klimowicz powiedział, że w zamian za pomoc mogę obiecać jego córkę chłopakowi. Tak też uczyniłem.

Zapomniany skręt dopalał się już w palcach starca. Przybysz wyrzucił go do ogniska i podjął opowieść.

– Tak uczyniłem. Następnego dnia już zabijaliśmy wojaków Haimowa. Czaszki pękały jedna za drugą, a nasi ludzie zdobywali coraz większą przewagę. Gdybyście widzieli ten kunszt strzelecki, to była poezja. Bez umiejętności tego chłopca nigdy nie dalibyśmy rady tak mocno dokopać Wężom. Przysięgam, lufa jego SV-98 nie stygła nawet na sekundę. Kiedy sam wykończył ze trzydziestu, reszta Węży pochowała się po kątach z pełnymi portkami. W końcu pojawił się sam Haimow ze swoim dragunowem. Nigdy tego nie zapomnę, był rozjuszony do granic możliwości. Obładowany materiałami wybuchowymi, ruszył przed siebie niczym dzika bestia. Pamiętam, że nie przestawał krzyczeć, że najpierw zarżnie nas, a potem swoich ludzi. Następnie zaś przyjdzie kolej na ludzi

z metra. Nie minęła chwila i dziesięciu naszych padło trupem. Był niesamowicie szybki. W tle słyszeliśmy jedynie upadające na beton łuski. Nasi ludzie zaczęli się wycofywać lub chować za ścianami, ale nie każdego uchroniło to przed precyzyjnym okiem rozjuszonego generała. Po chwili krzyknął, że wszyscy mają spieprzać z pola bitwy. Miał zostać tylko nasz chłopak. Węże wycofały się do swojej bazy, a nasi ze strachu pozostali w ukryciu. Nim się spostrzegłem, nasz snajper już zmieniał pozycję. Powietrze przecięły strzały. Obaj snajperzy poruszali się jak cienie. Szybko, bezszelestnie. Prawdziwi zabójcy. Bałem się wziąć lornetkę do ręki, bo Haimow rozwaliłby mnie w sekundę. Wiedziałem, że jest dobry, ale nie sądziłem, że aż tak. Zacząłem się bać o naszego chłopaka. Nie pamiętam, ile trwał ten pojedynek i ile padło w nim strzałów, ale w końcu huki ustały. Poczułem lodowate krople na moim skafandrze i po chwili zniszczone ulice spłynęły radioaktywnym deszczem i krwią. Krwią generała Haimowa. Dopiero teraz dostrzegłem króla snajperów. Stał w glorii i chwale nad pokonanym przeciwnikiem. Z głowy generała wciąż tryskała struga krwi, która mieszała się z deszczem. Chłopiec pochylił się nad pokonanym, wziął karabin i ułożył go na jego ciele. Nasza wojna dobiegła końca. Węże i nasi ludzie zaczęli powoli wychodzić z ukrycia. Nasi wrogowie odrzucili broń i poddali się. Nie braliśmy ich do niewoli. W tych czasach nic nie może się marnować. Szczególnie żołnierze. A bez Haimowa ci renegaci nie stanowili już żadnego zagrożenia. Widać było od razu, że byli gotowi powtórnie wstąpić w nasze szeregi. Zaczęliśmy zbierać co cenniejsze rzeczy poległych żołnierzy. Broń, maski, ubrania. Na końcu zabraliśmy, co się dało z magazynów Akademii Wojskowej i ruszyliśmy do metra. Podszedłem do naszego „rycerza”, który wciąż patrzył na ciało Haimowa. Poklepałem go po ramieniu. Podziękowałem za nieocenioną pomoc i powiedziałem, że pora wracać, wszak czekała na niego upragniona nagroda. Arina

i przyrzeczony ślub. On spojrzał na mnie i dał mi w podzięce nabój. Pięknie zdobiony. Coś wspaniałego, nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Na naboju wygrawerowany był napis: *Cinis et manes et fabula fies*. Powiedział, że to na pamiątkę.

Mężczyzna umilkł na chwilę. Otulił się swoimi ramionami i lekko zadrżał, mimo że ogień buchał w najlepsze.

– I co? – zapytał ktoś. – To już koniec twojej bajeczki?

– Nie. Kiedy wróciliśmy na dół, w Origo już na nas czekali. Powitali nas jak bohaterów. Nikt z innych stacji nie wiedział o naszej operacji. Nikt też nie wiedział, że gdyby nie tajemniczy chłopiec, wszyscy prawdopodobnie zginęliby w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, bo Gawrił Haimow planował wysadzić grodzie metra. Generał Klimowicz przyjrzał się chłopakowi i podziękował za pomoc. Powiedział, że jego wymarzona Arina już czeka na niego. Chłopiec ukłonił się subtelnie i powiedział, że wiedział, iż Klimowicz jest człowiekiem honoru, i że dotrzyma obietnicy. Cieszyłem się bardzo, bo młodzi pasowali do siebie. Poza tym taka była umowa. Arkadij zapytał tylko, jak się ma do niego zwracać i jak ma go przedstawić swojej pięknej córce. Tego dnia od snajpera biła radość i spokój. Powiedział, że może go przedstawić jako Hilarisa, co po łacinie znaczało „Radosny”. Generał skinął głową i po chwili przyprowadził Arinę. Dziewczyna na widok Hilarisa uśmiechnęła się wesoło. Tak jakby znała go od zawsze. Widziałem, że młodzi mają się ku sobie i że będzie z nich dobrana para. Klimowicz zapowiedział, że nie ma co zwlekać i że następnego dnia odbędzie się uroczystość ślubna. Wszyscy bili brawo, cieszyli się. Naprawdę, ja także się cieszyłem. Nazajutrz wszystko było gotowe. Zebrali się wszyscy, którzy wiedzieli o obietnicy. Wszystko było pięknie przygotowane. Nawet znalazł się duchowny. Po uroczystej przysiędze zasiedliśmy wszyscy do stołu. Wydawali się tacy szczęśliwi,

chociaż w ogóle się nie znali. Pierwszy raz zobaczyłem uśmiech na twarzy tego chłopaka. I wtedy to się stało. Po pierwszym tańcu generał Arkadij podał Hilarisowi szklankę z alkoholem. Chłopiec wypił ją jednym haustem i po chwili padł na ziemię jak kłoda. Wszyscy zamarli. Ten podły, zakłamany sukinsyn podał chłopkowi truciznę. Młody, dusząc się, umierał na oczach wszystkich. Ostatnie słowa, jakie powiedział, brzmiały: „Bądź przeklęty, Szatanie. Ty i twoja stacja". Po chwili był już martwy. Nie mogłem się ruszyć, byłem w szoku. Arina zaczęła krzyczeć i płakać, ale generał Klimowicz nakazał strażnikom zabrać ją ze stacji. Kazał także zgładzić wszystkich gości, by nie został żaden świadek. Za wszelką cenę nie mógł dopuścić, by Dymitr Antonowicz się o tym dowiedział. Pamiętam, że pierwsze, co zrobiłem, to rzuciłem się do ucieczki, bo i mnie kazano zamordować. Oddałem kilka strzałów w stronę Klimowicza, ale tylko zraniłem go w rękę. Biegłem na złamanie karku, strzelałem na oślep. Biegłem tak długo, aż znalazłem się w najgłębszym tunelu w metrze. Tam przeczekałem, z mojej małej awaryjnej kwatery zabrałem to, co najpotrzebniejsze, i uciekłem jak najdalej od Moskwy. Ale nie dlatego, że bałem się o moje życie. Uciekłem, bo nie mogłem już patrzeć na innego człowieka. Nie mogłem patrzeć na siebie. Ta historia uświadomiła mi, że człowieczeństwo nie istnieje i że nawet tutaj wciąż liczą się tylko pieniądze i układy. A dane słowo… obietnice… w Świecie Popiołów to słowa nieznane. W sumie czemu się dziwię, przecież sami, własnymi rękami, unicestwiliśmy ludzkość. To my wymordowaliśmy nasze siostry i naszych braci. My już nic nie musimy. Możemy tylko trwać. Nie wiem, co się stało z generałem Arkadijem i Ariną ani w jaki sposób Origo przekształciło się w Polis, ale wierzę, że klątwa, którą rzucił Hilaris, miała z tym związek.

– Stary – rzuciła głosem pełnym prześmiewczego tonu młoda dziewczyna. – Mieszkasz na Tretiakowskiej już prawie dwadzieścia lat.

Kubinkę masz zakodowaną w głowie, bo przed wojną pracowałeś tam w muzeum czołgów jako strażnik. Jesteś bezdomny. Codziennie żebrzesz o kwasa lub samogon. Masz już tak spaprany łeb, że nawet nie pamiętasz swojego imienia. W metrze nigdy nie było żadnej stacji Origo, już ci to mówiliśmy. Nigdy też nikt nie słyszał o żadnym generale Klimowiczu i jego pięknej córce Arinie. A co do tego snajperskiego mistrza, to chyba wyśniłeś sobie jakiegoś filmowego bohatera z dzieciństwa. Przyznaj się, wziąłeś kwasa i odjechałeś hen, hen daleko, co?

Ludzie wybuchnęli gromkim śmiechem, a wędrowiec tylko patrzył na nich. W końcu przemówił.

– Rzeczywiście. Macie rację. Idiota ze mnie. Polejcie jeszcze, proszę, co łaska.

Dziewczyna uśmiechnęła się teraz życzliwie i nalała żebrakowi cały kubek. Ten tylko wychylił go szybko i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając mocno przegnite zęby. Paszka był rozczarowany. Opowiadający sam przyznał, że to stek bzdur. Zagryzł wargę, nie takiego finału się spodziewał…

Po chwili na bezdomnego już nikt nie zwracał uwagi.

I nikt także nie zauważył, jak wyciągnął z kieszeni pięknie grawerowany nabój z łacińską sentencją.

Cinis et manes et fabula fies.

„Popiołem i cieniem i wspomnieniem się staniesz”.

Zacisnął go mocno i wtulił się znów w swoje ramiona.

Paweł „PalBal” Balcerek

Duch tuneli

Na stacji Sokoł już od kilku tygodni panował spokój, dawno nie widziano tu zmutowanych istot, a życie toczyło się spokojnym, wolnym tempem. Rano zapalały się nieliczne lampy elektryczne zasilane starym agregatem na ropę, ludzie niespiesznie udawali się do pracy przy uprawie grzybów i hodowli trzody chlewnej lub zajmowali się konserwacją filtrów wodnych i naprawami różnego rodzaju sprzętów minionej epoki. Po skończonej pracy wszyscy wracali do ustawionych w równych rzędach namiotów, gdzie spędzali czas z rodziną bądź spotykali się z przyjaciółmi, wspólnie narzekając na życie albo opowiadając sobie historie, zwykle zmyślone.

Andriej nigdy nie miewał snów – albo ich po prostu nie pamiętał. Tak też było tego poranka, kiedy opuścił objęcia Morfeusza, podnosząc się leniwie ze swojego starego, wytartego materaca. Wejście do namiotu było uchylone i wpadało przez nie blade światło lamp. Tego dnia chłopak obchodził swoje siedemnaste urodziny, jednak nie czuł radości, dla niego był to zwykły dzień, taki jak każdy inny. W sercu miał pustkę, od tak dawna pragnął, aby coś się zmieniło dla niego i jego przybranego młodszego brata, którym się zajmował od czasu śmierci rodziców. Tymczasem jego dni mijały na doglądaniu zwierząt bądź zbieraniu grzybów. Oleg wszedł do namiotu z szerokim uśmiechem na twarzy, niosąc coś w garści.

– Cześć, braciszku – powiedział z entuzjazmem chłopak. – Nie zapomniałem o twoich urodzinach. Wszystkiego najlepszego!

Oleg wyciągnął dłoń w stronę brata, trzymając w niej garść cukierków, na które z pewnością wydał znaczną część naboi. Andriej spojrzał na słodycze wzrokiem pełnym rezygnacji i bezsilności. Dręczyła go uśpiona ambicja, pragnął zmian, wielkich zmian.

– Zjedz je – odparł. – Muszę się zbierać, bo spóźnię się do pracy.

– Ale… Przecież są twoje urodziny, to dla ciebie.

Zawiedziony chłopak wbił wzrok w podłogę i odłożył nieśmiało cukierki obok posłania brata. Andriej zignorował to, pospiesznie się ubrał i wyszedł, kierując się do zagrody dla zwierząt, która mieściła się w bocznym tunelu tuż przy ich stacji.

Tego dnia na stacji miało miejsce niecodzienne wydarzenie. Zachodnim tunelem podróżowała grupka handlarzy zmierzająca do stacji Wojkowska i dalej, na Wodny Stadion. Kupcy zatrzymali się na posiłek i ogłosili, że potrzebują dodatkowych ludzi jako tragarzy. Obiecali całkiem godziwe wynagrodzenie po dotarciu do celu. Andriej, słysząc to obwieszczenie, dostrzegł cień szansy na przerwanie monotonii swojego życia. Wywnioskował, że warto byłoby zabrać się z nimi; szlak, którym zmierzali kupcy, nie należał do niebezpiecznych, a zawsze to jakaś przygoda, w końcu nie będzie go zaledwie dzień czy dwa, więc Oleg sobie poradzi. Nie zwlekając, chłopak udał się do swojego przełożonego poprosić o zwolnienie go na ten dzień z pracy, ponieważ miał urodziny i chciałby spędzić czas z młodszym bratem. Niewiele myśląc, skierował następnie swe kroki w miejsce, gdzie rozstawili się kupcy. Wstąpienie w szeregi karawaniarzy nie okazało się problemem, gdyż oprócz niego nie było innych chętnych. Jednak była jeszcze jedna rzecz, która musiał zrobić przed wyruszeniem – trzeba było poinformować brata. Andriej nie do końca wiedział, jak ma to zrobić. Znał Olega i wiedział, że nie spodoba mu się ten pomysł. Oleg był jednak zaradnym chłopcem, więc Andriej był pewien, że

poradzi sobie pod jego nieobecność. W końcu co takiego może się wydarzyć na zapomnianej przez Boga stacji. Chłopak nie zastał brata w namiocie i nieszczególnie chciał go teraz szukać, właściwie było mu to na rękę. Na posłaniu Olega zostawił karteczkę, na której napisał: „Bracie, wyruszyłem z karawaną do stacji Wodny Stadion, przez Wojkowską. Nie będzie mnie jakieś dwa dni. Jesteś zaradny, poradzisz sobie, w razie problemów poproś o pomoc sąsiadów. Andriej". Karteczkę przygniótł jednym z cukierków i wrócił do handlarzy. Nie czuł żalu, że opuszcza stare śmieci, nie miał tutaj przyjaciół, których musiałby pożegnać, cieszył się, że choć na chwilę może zostawić stację za plecami i gdzieś wyruszyć.

– Jestem gotowy – powiedział Andriej, zbliżając się do kupców. – Możemy ruszać, kiedy tylko chcecie.

– W porządku. Nikt więcej i tak nie dołączy – zawyrokował dowódca karawaniarzy. – Zapalić latarki, towar na plecy, broń w pogotowiu. Ruszamy.

Grupa składała się z pięciu ludzi, nie licząc Andrieja. Chłopak nie pytał o ich imiona, oni też nie spytali, jak on się nazywa, więc uznał, że na początku podróży to i tak nieistotne albo po prostu handlarze często korzystają z usług miejscowych tragarzy i poznawanie każdego nie ma sensu. Istotnym faktem było tylko to, kto jest przywódcą grupki, a był nim barczysty mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Ku lekkiemu zdziwieniu chłopaka jednym z kupców była kobieta. Szczupła dziewczyna o krótko przystrzyżonych włosach, kilka lat starsza od niego.

Mimo że światło latarek rozjaśniało mrok panujący w tunelu, atmosfera podziemi udzielała się wszystkim podróżnikom. Nikt nic nie mówił, każdy tylko nasłuchiwał odgłosów dochodzących z oddali. Słyszeli głuche i ciche dudnienie w rurach, leniwe kapanie wody gdzieś ze ściany, ale najgorsze było echo niosących się kroków, wywołane przez nich samych. Po

kilkunastu minutach echo się nasiliło, a niepokój podróżników wzrósł, podnosząc każdemu żołądek do gardła. Dowódca gestem dłoni nakazał im się zatrzymać; odgłos kroków jednak nie ucichł, lecz stał się jeszcze bardziej wyraźny. Handlarze odbezpieczyli broń i przyjęli pozycje obronne. Trzy uderzenia serca później wszyscy dostrzegli światło latarki rozchodzące się od strony, z której przybyli, a z tunelu wyłoniła się sylwetka niskiego człowieka.

– Cholera, nie strzelajcie, to mój brat – powiedział gniewnym głosem Andriej. – Niech to szlag. Co on tu robi?

– Przepraszam – wydyszał Oleg, podbiegając do grupy. – Andriej, ja…

– Co ty tu, do diabła, robisz? – przerwał mu chłopak. – Miałeś siedzieć na stacji i czekać, aż wrócę. Nawet tak prostej rzeczy nie umiesz zrobić?

– Przepraszam – odparł młodszy brat. – Chciałem iść z tobą. Ja też chce przeżyć przygodę. Mogę się przydać. Mogę nieść część towaru. Dam radę. Obiecuję.

Dowódca handlarzy podszedł do obu braci i zmierzył Olega gniewnym spojrzeniem.

– Nie będziemy się cofać tylko dlatego, że nie potrafiłeś upilnować szczeniaka – zadecydował mężczyzna. – Będzie niósł towar jak każdy i nie ma taryfy ulgowej. Jesteś za niego odpowiedzialny.

Wypowiadając ostatnie słowa, zwrócił się do Andrieja.

Tak więc grupa liczyła teraz siedem osób, przy czym bracia szli na końcu kolumny i tego właśnie Andriej żałował. Cały czas oglądał się za siebie i rozświetlał mrok. Zdawało mu się, że ktoś lub coś cały czas stąpa tuż za jego plecami, jednak za każdym razem napotykał jedynie pustkę. Wkrótce Andriej zaczął czuć się dziwnie. Zdawało mu się, że słyszy jakieś niewyraźne dźwięki. Nie były to odgłosy niesione przez echo, słyszał je jakby w swojej głowie, jakby były przeznaczone tylko dla niego. Z biegiem

czasu dźwięki te stawały się coraz bardziej wyraźne. Andriej słyszał na przemian śmiech i płacz. Chłopak zaczął nerwowo wodzić latarką po ścianach tunelu, bezskutecznie szukając źródła głosów.

– Oleg, słyszysz to? − spytał brata.

– Hmm? Co takiego, Andriej?

– Jak to co? Te dziwne dźwięki – wyjaśnił szeptem chłopak.

– Wydaje ci się – odparł z uśmiechem przybrany brat. – Nic tu nie słychać.

Nagle Andriej zaczął słyszeć głosy wyraźniej, głowa zabolała go w okolicach skroni i tym razem dobiegł go metaliczny dźwięk, jakby wychodzący ze środka jego głowy wprost do ucha wewnętrznego.

Wy, którzy nie wyciągnęliście wniosków z historii, jesteście skazani na to, by ją powtarzać.

Chłopak wzdrygnął się, słysząc te słowa, chwycił się za skronie i zmrużył oczy, wmawiając sobie, że to tylko strach, że to nie jest prawdziwe. Jednak metaliczny, niski głos ponownie rozbrzmiał w jego głowie.

Czego pragniesz chłopcze, dlaczego wkraczasz do tuneli z tymi ludźmi? Czy nie zadowala cię życie na stacji, czy szukasz śmierci?

– Nie szukam – odparł szeptem Andrej, tak aby nikt z towarzyszy go nie usłyszał. – Kim jesteś?

Skąd wiesz, że w ogóle jestem, chłopcze? Byłem tutaj na długo przed tobą, a jednak to wy mnie stworzyliście, wy i wasza pycha, wasza chciwość, wasze żądze. Więc pytam, czego pragniesz, chłopcze?

– Przecież to tylko moja wyobraźnia, ciebie nie ma… nie ma.

Pomiędzy życiem a śmiercią znajduje się pragnienie. Pragnienie życia, miłości, wszystkiego, co dobre. Czego chcesz od tuneli?

– Pragnę zmian – wymamrotał chłopak pod nosem. – Chcę, aby moje życie nabrało wartości, odmieniło się.

Otrzymasz wszystko, czego pragniesz, lecz musisz za to zapłacić. Otaczają cię źli ludzie, pełni chciwości i okrutnych żądz, to przez nich świat jest taki, nie żałuj ich, a odmienisz życie. Teraz biegnij, po stronie twego serca znajdziesz azyl.

W głowie Andrieja ponownie rozbrzmiały głośne śmiechy i jakieś nienaturalne dudnienie, jakby ktoś na bębnach grał marsza wojennego. Chłopak nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, do czasu aż za jego plecami nie rozbrzmiał głośny skowyt jakichś stworów. Tym razem dźwięk był słyszalny dla wszystkich i cała grupa przystanęła, kierując lufy karabinów w głąb tunelu.

Głupcze! Głupcze! − odezwał się metaliczny głos w głowie chłopaka.

Wtedy Andriej zrozumiał. Nie myślał nad tym, co robi. Złapał rękę brata i zaczął biec. Wyminął zręcznie handlarzy. Dowódca coś za nim krzyczał, lecz chłopak nie słyszał nic poza tym potwornym głosem w swoim umyśle: „po stronie twego serca znajdziesz azyl”. Rzeczywiście, z lewej strony znajdował się krótki tunel techniczny, zamykany solidnym stalowym włazem, który teraz był otwarty.

– Właź do środka! – krzyknął Andriej do brata.

Ten posłusznie wślizgnął się do korytarza. W tym samym momencie zaczęły rozlegać się strzały, z początku pojedyncze, ale po kilku sekundach przeszły w ogień ciągły. Huk strzelaniny tłumił wrzaski przerażenia. Andriej już był jedną nogą w tunelu technicznym i złapał uchwyt od włazu, kiedy skierował latarkę w kierunku pola walki. Dostrzegł mnóstwo krwi i dwoje żywych ludzi – jedyną dziewczynę w grupie oraz któregoś z handlarzy – biegnących w jego stronę z malującym się na twarzach przerażeniem. Wołali, aby zaczekał, jednak nadaremno. Właz zamknął się tuż przed nimi. Obaj bracia, ukryci w bocznym korytarzu za włazem, słyszeli tylko, jak kupcy walą pięściami w metalowe drzwi, błagając

o pomoc. W mniej niż trzy uderzenia serca wrzaski umilkły i zapanowała cisza, ale nie w głowie Andrieja.

Starszy brat osunął się na ziemię i oparł plecami o właz. Chwycił się za skronie i zaczął się lekko kołysać w przód i w tył. Oleg drżącą ręką podniósł latarkę z ziemi i rozejrzał się po tunelu technicznym, który, jak się szybko okazało, był ślepy.

– Andriej! Co się z tobą dzieje? − spytał chłopak. – Dlaczego zamknąłeś przed nimi właz, przecież by zdążyli!

– Nie mogłem – odparł. – Nie mogłem, on mi kazał.

– Andriej, kto? Przecież tu nikogo poza nami nie ma.

Oleg podszedł do brata i potrząsnął nim. Miał do niego wyraźne pretensje, chociaż sam był przerażony całą sytuacją. Andriej wciąż słyszał w głowie mieszające się głosy, śmiechy, wrzaski i płacz. Po chwili wszystko ustało i odezwał się metaliczny głos.

Jesteś blisko osiągnięcia nowego, lepszego życia, już tylko krok, pozostała jedna rzecz.

– Andriej, dlaczego to zrobiłeś! − wołał Oleg. – Otrząśnij się, proszę!

On z ciebie drwi, chłopcze, uważa się za lepszego, a to przez niego twoi rodzice zginęli. Ja mogę ci to zwrócić, odzyskasz to, co straciłeś. Jeszcze tylko jeden krok. Zrób to, a zmienię twoje życie. Zrób to.

Ostatnie zdanie rozbrzmiewało echem w głowie Andrieja. Po policzkach pociekły mu łzy, a ręka powędrowała za plecy, gdzie miał schowany nóż. Jego młodszy, przybrany brat wciąż nim potrząsał, lecz Andriej nie słyszał już, co ten mówi, słyszał tylko metaliczny głos. Zdał sobie sprawę, że oczy mu łzawią, a ręce drżą, jednak wyjął nóż z pochwy i zacisnął na nim mocno dłoń.

Bramy się otwierają, skrajności stykają. Skieruj się ku zmianie.

Andriej nawet się nie zorientował, kiedy trzymany przez niego nóż utkwił w brzuchu Olega. Nagle cały świat zawirował. Chłopak puścił rękojeść ostrza i zobaczył w oczach przybranego brata gasnący płomyk życia oraz żal. Oleg opadł na kolana brata bez ruchu, jego szara, wyblakła koszula szybko zmieniała kolor na szkarłatną czerwień. Andriej przestał już słyszeć jakiekolwiek głosy. Sam nie wiedział, ile czasu to trwało – kilka sekund, minutę, kilka minut, a może godzinę. Cisza.

Chłopak ponownie czuł pustkę, cały czas nie docierało do niego to, co się stało; był jak w amoku, oszołomiony. Cały czas patrzył na Olega, który leżał na jego kolanach tak spokojnie, jakby spał. Andriej odsunął od siebie myśl, że on nie żyje, zamknął ją głęboko w pancernej skrzyni gdzieś w głębi swojego umysłu. W końcu cisza została przerwana. Pod ścianą tunelu technicznego rozbłysło światło i ukazała się czarna sylwetka, której w żaden sposób nie szło opisać. Postać nie miała twarzy ani żadnych ubrań, wydawało się, że jej kształt ciągle się zmienia.

– Kim jesteś? – wydusił z siebie Andriej.

Sylwetka zbliżyła się do chłopaka i przemówiła tym samym metalicznym głosem, jednak tym razem głos nie rozlegał się wewnątrz głowy Andrieja, lecz wyraźnie dobiegał od tajemniczej czarnej postaci.

To, kim jestem, nie ma znaczenia. Możesz mnie nazwać duchem tuneli, możesz mnie nazwać swoim przeznaczeniem lub rycerzem apokalipsy, możesz założyć też, że w ogóle nie istnieję. To, w co wierzysz, nie ma znaczenia. Dokonało się to, co miało się stać. Teraz ja dotrzymam umowy i przeniosę cię do innego świata, odmienię twoje życie, tak jak pragnąłeś, chłopcze.

Ciemna sylwetka bezgłośnie zbliżyła się do chłopaka, a ten nawet nie zorientował się, kiedy lodowata dłoń zjawy chwyciła go za szyję. Andriej nie mógł złapać tchu ani się poruszyć. Czuł potworny ból i rozpacz, teraz

wszystko do niego dotarło. Uświadomił sobie, co zrobił, lecz było za późno. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był trzask pękającego karku, a potem ogarnęło go zimno i najgłębszy rodzaj ciszy.

Obudził go jego własny krzyk. Cały był zlany potem. Serce kołatało mu jak szalone, a gardło miał ściśnięte. Rozejrzał się. Był w swoim namiocie. Obok jego materaca leżała garść cukierków. Przez odchyloną połę namiotu wpadało blade światło lamp oraz zwykły codzienny gwar pracujących na stacji ludzi. Andriej wyjrzał na zewnątrz i po chwili dostrzegł swojego przybranego brata, który właśnie szedł do namiotu, niosąc dwie miski zupy grzybowej. Gdy tylko chłopiec wszedł do środka, starszy brat odebrał mu miski i odstawił je na bok, po czym mocno przytulił go do siebie. Oleg był wyraźnie zaskoczony zachowaniem Andrieja. A ten trzymał go w objęciach i wiedział już, że jego życie się zmieniło. Zrozumiał tę lekcję, dostrzegł, że najważniejsza w życiu jest rodzina, a on ma brata, który jest jego największym przyjacielem. I że prawdziwą zdobyczą każdego podróżnika są nieodkryte zakamarki jego własnej duszy.

Akuumo

Płomień

Do ogniska przysiadł się młody chłopak, chyba nawet nie miał dwudziestu lat. Czarne spodnie, sweter w tym samym kolorze i rozpięta kamizelka – stuprocentowy stalker. Młodzik usadowił się tak, że był zwrócony ku pozostałym lewą stroną twarzy, zupełnie jakby chciał ukryć przed ciekawskimi spojrzeniami drugą połowę. Tajemniczego obrazu dopełniał wilczur, który położył się obok młodego stalkera. W metrze wielu ludzi trzymało psy lub nawet koty, ale owczarki widywano rzadko, jeśli nie wcale. Nie czekając na pozwolenie, chłopak beznamiętnym głosem rozpoczął opowieść.

***

Wszystko zaczęło się podczas wojny. Nie, nie chodzi o WOJNĘ, tylko o tę z czerwonymi. A konkretnie to wtedy, gdy zmierzała ona już do wyczekiwanego końca. Jeden z żołnierzy hanzeatyckich – a właściwie Konfederacji Arbackiej, która wspierała okrężnych – miał dość walk, tak jak wielu innych. Rozmyślał nad dezercją, ale nigdy nie zdołał wprowadzić planu w życie.

Anton doskonale pamiętał Dzień Płaczu. Tak, właśnie tak nazywał ostatnie godziny ludzkości. Inni mówili na to Kataklizm, Wielka Zagłada, Koniec. Ale nie on. Dla niego to była rozpacz. Płacz.

Zginął wtedy jego ukochany młodszy brat, Andriej. „Mały”, jak go pieszczotliwie nazywał, ku wściekłości tamtego. Najbliższa mu osoba,

najlepszy przyjaciel… Chciał go odwiedzić wraz z narzeczoną, Iriną. Pragnęli osobiście poinformować go, że się pobierają. Właśnie wysiadali z pociągu metra, gdy zawyły syreny. I nastał zmierzch ludzkości. Zaczęły mijać godziny, dni, tygodnie oczekiwania na ratunek, który nigdy nie nadszedł.

Anton przeładował kałacha. Wciągnął głęboko powietrze, oczyszczając umysł. Nie zamierzał dać się zabić. Nie dzisiaj. Musiał jeszcze wrócić do Iriny… i ich dziecka.

– Będziesz miał syna – powiedziała mu, gładząc mocno zaokrąglony brzuch.

– Ale skąd możesz wiedzieć… – zaczął się dopytywać. Przecież aparatów USG już od dawna nie było.

– Ciii – przerwała mu, kładąc palec wskazujący na jego ustach. Uśmiechnęła się, tak jak tylko ona potrafiła. To tym uśmiechem potrafiła owinąć go sobie wokół zgrabnego palca. – Po prostu wiem.

Ostatnie słowa wypowiedziała szeptem. Namiętny pocałunek rozwiał wszystkie jego wątpliwości. Gdy w końcu uwolnił się z objęć żony, oznajmił:

– Nazwiemy go Andriej, dobrze?

– Mhm… – Usta Iriny znowu go pochłonęły, nie pozwalając się wyrwać.

Syn… Ta myśl zburzyła jego wewnętrzny spokój. Stał za filarem, który podtrzymywał sklepienie stacji. Komuchom broniącym pozycji kończyła się amunicja, jeden porządny szturm i oddadzą kolejny kawałek Parku Kultury.

Anton nie wiedział jednak, że jego mały braciszek przeżył apokalipsę. Gdy chaos Dnia Płaczu osiągnął apogeum, los sprawił, że był akurat na mieście. Do stacji Czystyje Prudy miał niecałe sto metrów. Kilkanaście sekund panicznego biegu, przepychania się przez tłum, kilka ciosów

wymierzonych pragnącym go zgnieść ludziom i był bezpieczny. Do czasu, aż czerwona rewolucja rozgorzała na nowo i ogarnęła większą część Lini Sokolniczeskiej.

Anton ruszył biegiem do następnego filaru.

„Byle zdążyć. Byle dobiec” – przemknęło mu przez myśl, gdy nagle pojawił się przed nim czerwony. Anton już unosił karabin, gdy czas zwolnił. Miał chwilę, by przyjrzeć się twarzy wroga, i stanął jak wryty. Opuścił lufę.

Te same brązowe oczy. Te same czarne i wiecznie pozostające w nieładzie włosy. Ta sama twarz. Jego brat.

Żołnierz zaniemówił, gdy nóż, przyklejony taśmą do lufy AK-47, przeszył jego ciało. Nie, na Boga, nie! To nie może się tak skończyć!

Anton z westchnieniem osunął się na pokrytą płytkami posadzkę. Andriej wyciągał z pochwy przy boku drugi nóż, by zakończyć sprawę.

– Mały… – przemówił wreszcie Anton, wyciągając w kierunku brata dłoń. Ręka z nożem gotowym do ciosu zamarła. Twarz żołnierza zastygła w zdziwieniu.

– A… Anton? – zapytał po chwili z niedowierzaniem młodszy brat. Zdziwienie zmieniło się w przerażenie. – Ja…

Gruchnęła seria. Pociski odbiły się od filaru, przy którym znajdowali się bracia, i niemal ogłuszyły Andrieja. Wystarczył rzut oka w kierunku, z którego strzelano, by do niego dotarło, że musi uciekać. Reszta oddziału Antona ruszyła do ataku.

– Wrócę – powiedział do brata i dał nura do tyłu, ledwo unikając kolejnych pocisków.

Tymczasem Anton patrzył na swoją ranę. Gdy jego towarzysze zrozumieli, co się stało, i zaczęli ciągnąć go do tyłu, ogarnęła go ciemność.

Irinie, jego żonie, powiedzieli, że zginął jak bohater – za sprawę, w obronie ojczyzny. Nie była to prawda, biorąc pod uwagę, że Anton brzydził się wojną, a do wojska został wcielony po tym, jak zawodowi żołnierze Hanzy zaczęli masowo ginąć w starciach z czerwonymi. Szok był tak wielki, że omal nie poroniła. Cudem doniosła ciążę, a dziecku, zgodnie z wolą zmarłego męża, nadała imię Andriej. Nie wiedziała, że nazwała je po zabójcy ukochanego. Nie mogła wiedzieć.

Andriej pod koniec działań wojennych trafił do niewoli. Kiedy niedobitki jego oddziału zostały otoczone, on pierwszy rzucił broń. Specjaliści od przesłuchań, którzy się nim zaopiekowali, znali się na rzeczy, nie bez kozery nazywano ich specjalistami. Chcieli, by gadał, więc gadał. Wyjawił wszystko, co tylko wiedział o planach, akcjach, kodach i sprzęcie. Informacje te nie miały jednak wielkiego wpływu na wojnę. O dziwo, gdy walki się skończyły, administracja pozwoliła mu jednak zostać. Planowali zrobić z niego szpiega i wysłać z powrotem na Linię Czerwoną, ale on chciał zostać uczciwym obywatelem wspaniałej Linii Okrężnej, która wreszcie była w pełni okrężna. Przez półtora roku czyścił kible na stacji, aż wreszcie otrzymał wizę i obywatelstwo.

Potem udał się na sąsiednią stację. Odnalazł Irinę. Wyznał jej prawdę.

Bratowa znienawidziła go. Wściekła, krzyczała na niego, biła pięściami po piersi, aż wreszcie zaczęła płakać. On ją przytulił. Jej synek, mały Andriej, również zaczął płakać. Irina uspokoiła go, a duży Andriej obiecał, że im pomoże. Zabierze do Hanzy, do lepszego miejsca.

Irina zgodziła się dopiero po kilku miesiącach, gdy stało się jasne, że jako sprzątaczka u naczelnika stacji nie da rady zarobić na utrzymanie siebie i dziecka. No chyba że oddałaby się staremu, łysemu grubasowi.

Tak więc wraz z dzieckiem zamieszkała u szwagra. Po kilku latach przenieśli się na drugi kraniec metra, na Prospekt Mira. Byle dalej od

przeszłości, byle dalej od bólu i cierpienia.

***

Młodzian przerwał na chwilę opowieść i pochylił głowę, jakby zastanawiając się, czy kontynuować. Zamyślony, gładził gęste futro wilczura. Odchrząknął i po chwili zaczął mówić dalej.

***

Żadne z nich nie wiedziało jednak, że Anton przeżył spotkanie z bratem. Towarzysze broni zabrali go do lazaretu, gdzie miejscowy lekarz, Soboczewski, zajął się nim na rozkaz samej administracji Hanzy.

Kilka godzin po operacji Anton Siergiejow trafił do celi. Jego brat Andriej znalazł się później kilka pomieszczeń dalej, ale żaden z nich nie mógł o tym wiedzieć.

Anton nie wiedział także, dlaczego trafił do ciemnego i wilgotnego więzienia, a raczej nie chciał wierzyć, że oni się domyślają…

Gdy przyszli do niego wysłani przez Hanzę smutni panowie w garniturach i powiedzieli, że wiedzą, z oczu popłynęły mu łzy.

– Wiemy o twojej zdradzie, żołnierzu – powiedział jeden z nich. – A twoja żona wierzy, że zginąłeś jak bohater. Wszyscy twoi przyjaciele w to wierzą. Cała twoja stacja…

– Bydlaki – warknął Anton, odsuwając się od pochylonego nad nim mężczyzny w nienagannie skrojonym czarnym garniturze. – Nie chcę waszej litości!

Po chwili jednak się uspokoił.

– Skąd wiecie?

– To nieistotne – oznajmił drugi smutny pan. – Istotne jest natomiast to, że jeśli nie zgodzisz się na współpracę, zrobimy z ciebie zdrajcę i dezertera,

jakim zawsze chciałeś być. A twoją żonę wyrzucimy z tej waszej Konfederacji.

– Arbaccy wydadzą ją nam bez problemu – potwierdził pierwszy. – A my wykopiemy ją na jakieś zadupie albo oddamy komuchom, albo do śmierci będzie czyściła kible – oznajmił, a jego wargi drgnęły na ułamek sekundy.

– Ale jeśli przystaniesz na naszą propozycję, wrócisz do świata żywych i do swojej ukochanej żonki – dokończył drugi.

Anton miał ochotę rzucić się na nich z pięściami, ale po chwili zrozumiał, że to nic nie da. Mieli go w garści.

– Co mam zrobić? – zapytał zrezygnowany.

– Pójść na powierzchnię, razem z innymi skazańcami, pod wodzą naszego człowieka. Następnie wysadzić hermetyczną zaporę na Kropotkińskiej.

Więzień dopiero po chwili zrozumiał, że spowoduje to wyłom w Linii Czerwonej, przez który będzie można przeprowadzić kontrnatarcie. Albo z czasem promieniowanie zeżre komuchów… a wraz z nimi mnóstwo niewinnych ludzi, zamieszkujących niefortunną stację.

Kilka dni później wyruszyli: Anton, pięciu innych więźniów i dwóch stalkerów z prawdziwego zdarzenia. Grupą dowodził jakiś pułkownik o obcobrzmiącym nazwisku – Thomson czy Trompson. Przeprowadził ich niemal bez przeszkód, byli już kilkanaście metrów od wejścia do na wpół zburzonego westybulu, gdy pojawiły się wilki…

Anton oddychał ciężko przez filtr maski przeciwgazowej. Po kilku latach pod ziemią pierwszy kontakt z otwartą przestrzenią był szokiem, również dla pozostałych skazańców. Padający śnieg jeszcze bardziej ograniczał widoczność, a zimowy chłód atakował ciało pomimo swetrów i prowizorycznych kombinezonów.

Oczywiście pułkownik i stalkerzy byli znacznie lepiej wyekwipowani…

„Idą święta” – pomyślał głupio Anton, gdy kilka godzin wcześniej wyszedł po od lat niedziałających ruchomych schodach Parku Kultury. Teraz zastanawiał się, co do jasnej cholery robił na mrozie, w nocy, obwieszony materiałami wybuchowymi jak jakiś terrorysta.

„Robię to dla Iriny – odpowiedział sobie. – I dla Andriuszki…”

Oddział ruszył nagle żwawiej. Anton dopiero po chwili zobaczył w oddali zarys stacji Kropotkińskiej. Ich zadanie było już niemal w zasięgu ręki.

Nie wiedzieli jednak, że opuszczony przez ludzi budynek pełnił rolę schronienia dla wilków.

Białe, zmutowane zwierzęta miały przeszło metr w kłębie, ogon krótszy o dwie trzecie od normalnego, wydłużoną paszczę, mieszczącą kilka dodatkowych, ostrych jak brzytwa zębisk… Dzikie, niebezpieczne, zabójcze. Jak cały obcy już człowiekowi świat.

Pierwszy przepadł Jurij, który szedł najbardziej po lewej. Dwa ogromne wilki złapały go i nie dało się go już uratować. Pozostali zaczęli strzelać ze swoich starych kałachów, zapominając, że mogą sobie ściągnąć na głowę inne, jeszcze groźniejsze stwory.

Wilki miały jednak słaby punkt. Żyły w zhierarchizowanych watahach. Pozbawione samca alfa, zmutowane ssaki natychmiast rzucały się sobie do gardeł, by wyłonić najsilniejszego następcę.

To uratowało Antonowi życie. Gdy zbłąkany pocisk rozerwał czaszkę największego wilka, reszta zwierząt momentalnie oszalała.

Siergiejow był blisko dowódcy, gdy ten się wycofywał. Dopiero teraz zauważył, że zostali tylko oni dwaj.

– Musimy tam iść – wydusił po chwili pułkownik. – Dokończyć misję…

Anton nie wiedział, co w niego wstąpiło. Na wydarzenia, które nastąpiły, patrzył jakby z boku.

– Nie – wykrztusił po chwili.

– Jak to nie?! To rozkaz, rozumiesz, śmieciu?! – Stalker nie zdążył odwrócić w jego kierunku głowy. Pocisk wystrzelony z automatu zrobił dziurę w tyle czaszki, a strzępy mózgu i krew obryzgały szkła maski przeciwgazowej.

– Tylko tak mogę znowu spotkać się z rodziną… – przepraszał Anton, zrzuciwszy własną maskę i łapczywie wciągając powietrze.

Potem pochylił się nad trupem, by ograbić go ze wszystkiego, co ułatwiłoby mu powrót.

Kilka lat później brat Antona został postrzelony podczas jednej z wart na Prospekcie Mira. Z południowego tunelu nadeszli bandyci i zaatakowali wartowników. Udało się ich przepędzić, ale rykoszet zmasakrował lewe kolano Andrieja, czyniąc z niego kalekę do końca życia. Sytuacja stawała się coraz gorsza. Mały Andriusza rósł, a Irina po raz kolejny zaszła w ciążę. Jednak na dziecko, jak i na ślub, brakowało im pieniędzy. Zwłaszcza teraz, gdy Andriej stał się kaleką i zaczął pić, nie mogąc sobie znaleźć porządnego zajęcia.

Pewnego razu zabrał się jednak wraz z karawaną udającą się na drezynach na południe. Razem z przybranym tatą pojechał „na wycieczkę” także Andriusza.

Wtedy do Iriny przyszedł naczelnik stacji, Igor Łopatow.

– Moja droga Irinko, znamy się już kilka ładnych lat… – zaczął z uśmiechem. Kobiecie uśmiech ten nie podobał się ani trochę.

– Czego chcesz? – warknęła szybko, odsuwając się w głąb namiotu.

– Ciebie – oznajmił beztrosko naczelnik, oblizując wargi. Nim Irina zdążyła posłać go do wszystkich diabłów, dodał jeszcze: – Albo po prostu wyrzucę cię z mojej stacji, razem z tym twoim kaleką i małym gnojkiem. Czy inwalida wykarmi waszą dwójkę? I swojego bękarta, który jest w drodze? Masz wybór. Albo się zgodzisz, albo żegnaj, kochana.

Irina chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Usiadła na łóżku i zaczęła płakać. Łopatow uśmiechnął się jeszcze paskudniej i zaczął zdejmować marynarkę.

– No, gaś światło – rzucił krótko.

***

Podczas tego fragmentu opowieści głos młodzieńca zaczął się łamać i chłopak robił coraz dłuższe przerwy. Ukradkiem przetarł wilgotne oko i po łyku samogonu wrócił do opowiadanej historii.

***

Tego samego dnia, wieczorem, miała wrócić karawana. Ale wcześniej z północnego tunelu wyszedł pewien mężczyzna w czarnym stroju i kuloodpornej kamizelce. Wyglądał na stalkera. Niebezpiecznego wyglądu dopełniała narośl na lewym policzku.

– Widocznie przedobrzył na powierzchni – rzucił wartownik do swojego kolegi, gdy przybysz wszedł na stację. Posiadał paszport Hanzy, a w nim stemple z wszystkich po kolei stacji na północnej części pierścienia, poczynając od Parku Kultury.

Nagle nieznajomy zawrócił i ponownie podszedł do wartowników.

– Przepraszam, czy mieszka tu Irina Sobaczewska? – zapytał, rozwiewając obawy strażników, że zdenerwował go ich komentarz.

– Tak, tamten namiot – wskazał palcem jeden z nich. – A czemu jej szukasz?

– To moja żona… – odparł cicho mężczyzna.

– Zaraz, ale czy ona… – zaczął jeden z żołdaków, ale przybysz już go nie słuchał i ruszył do wskazanego namiotu.

Poły uchyliły się, gdy Łopatow mocował się z paskiem od spodni.

– Cooooo!? – ryknął Anton, gdy zobaczył swoją żonę, nagą i płaczącą w łóżku, oraz stojącego na środku namiotu półnagiego naczelnika.

Łopatow odwrócił się i zamarł, przerażony.

– TY GNOJU! – wrzasnął Anton, wbijając mu w brzuch ogromny nóż należący niegdyś do pułkownika Thompsona. Naczelnik tylko jęknął i osunął się na ziemię. Anton spojrzał na swoją żonę, a z jego oczu popłynęły łzy.

– Nie wiesz, przez co przeszedłem, by tu wrócić… – wyszeptał. Pochylił się nad nią, jeszcze bardziej eksponując szyszkowatą narośl na policzku.

– A… Anton – z niedowierzaniem westchnęła Irina, rzucając się mężowi na szyję. Ucałował ją i dopiero po chwili spojrzał na jej brzuch.

– Co?… Kto?… – zapytał, a w jego głosie dało się słyszeć metaliczne tony. Twarz oświetlona niewielką lampą naftową wiszącą u góry namiotu przybrała diaboliczny wygląd.

– Andriej… – odpowiedziała po chwili Irina, cofając się od męża.

– Co!? Dla niego też rozłożyłaś nogi?! Suka! – Pięść Antona rzuciła Irinę na podłogę.

Wtedy do namiotu wszedł o kulach Andriej, który usłyszał wrzaski już przy wyjściu z tunelu.

– Zostaw ją, bydlaku! – krzyknął dawny czerwonoarmista.

– Mały? – zapytał Anton z sarkazmem w głosie, odrywając się od okładania łkającej żony. Wyciągnął pistolet. – Wiesz, jakie to uczucie, gdy się umiera?

Pocisk trafił Andrieja w zdrowe kolano. Następny przestrzelił mu płuco, które szybko zaczęła wypełniać krew. Leżący kaleka musiał walczyć o każdy oddech. Anton odrzucił broń i wrócił do żony.

– Suka! – krzyknął ponownie, kopiąc skuloną kobietę. – Nie wiesz, co zrobiłem tylko po to, by cię odnaleźć, a ty tak mi się odpłacasz! – Zadał

kolejny cios.

– Zostaw moją mamę – usłyszał za sobą mężczyzna. Odwrócił się i jego oczom ukazał się chłopiec w wieku około dziesięciu lat. W rękach trzymał pistolet Antona.

– Ma-mamę? – Anton kucnął przed chłopcem, z łzami w oczach. – Synku, to ja. Tata…

– Nie! – krzyknęła ostatkiem sił Irina. – Andriej, uciekaj!

– Andriej? – Anton odwrócił się ku skatowanej kobiecie. – Nazwałaś naszego syna Andriej?! Ty szma…

Mężczyzna nie dokończył, bo pocisk trafił go w pierś. Chłopiec upadł, powalony odrzutem.

Anton, rycząc wściekle, zerwał wiszącą u góry lampę naftową i rzucił nią w syna. Ubranie chłopaka zajęło się momentalnie, podobnie jak poły namiotu.

***

– I co, to wszystko? A co było z Iriną? Co z chłopakiem? – zapytał jeden ze słuchaczy po chwili milczenia.

– Irinę i Andrieja uratowano, choć oboje zostali poważnie poparzeni. Matka chłopca straciła jednak drugie, nienarodzone dziecko. To i pozostałe przeżycia sprawiły, że oszalała; weszła do tunelu prowadzącego na Turgieniewską i już nie wróciła. Zabrało ją metro… A chłopcem zaopiekował się podstarzały stalker. Anton i jego brat zginęli w płomieniach. Podobnie jak naczelnik Prospektu.

Młodzieniec nawet nie próbował ukryć, że płacze. Wszyscy milczeli, gdy rozległ się krzyk:

– Płomień! Chodź no tu, zaraz wyruszamy!

Chłopak na te słowa wyprostował się i stłoczeni przy ognisku wyraźnie zobaczyli blizny po oparzeniach na prawej połowie jego twarzy i niżej, wzdłuż szyi. Za młodym stalkerem poderwał się jego pies i obaj odeszli w ciemność.

Kamil Jankowski

Nic, co ludzkie, nie jest mi obce

– Czołem, Grisza! – rzuciłem wesoło, wchodząc w krąg światła rzucany przez pordzewiałą lampę naftową. Przy biurku, zgarbiony nad notatkami niczym pilny student, siedział niewysoki mężczyzna.

– Jak się masz, Wiktorze?

– Znośnie – odparłem i podszedłem do biurka, poprawiając spadający mi z ramienia AK-74.

Grisza odłożył na bok pióro, którym jeszcze przed sekundą notował w pożółkłym notesie, i wyciągnął szyję, aby sięgnąć wzrokiem za moje plecy.

– A co się stało ze słynnym nikonowem?

Nie potrafię powiedzieć, który raz usłyszałem tego dnia to samo pytanie. Za każdym razem, kiedy ktoś pytał o moje ukochane AN-94, miałem ochotę wziąć solidny zamach i mu przywalić. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – tak dawniej mówili.

– Okradziono mnie, kiedy nocowałem na Białoruskiej – skłamałem, wzruszając przy tym ramionami, zupełnie jakbym opowiadał tę historię po raz setny.

– Cóż… – Chłopak, widząc, że nie jestem zbyt skory do odpowiedzi, nie dopytywał już o szczegóły. Zamiast tego z powrotem chwycił za pióro i wrócił do pisania notatek.

Spojrzałem na mój srebrny zegarek z dużym pęknięciem na kopercie. Robiło się późno.

– Wiesz… – zacząłem. – Nie wpadłem tutaj, żeby pogadać.

Grisza nie raczył nawet zaszczycić mnie spojrzeniem, zamiast tego prychnął złośliwie i odpowiedział tak oschle, jak tylko potrafił.

– Jakbyś kiedykolwiek po to tutaj przyszedł.

Położyłem obie ręce na jego biurku i wytrąciłem mu z ręki pióro.

– To jest napaść na urzędnika państwowego – powiedział cicho przez zaciśnięte zęby.

Uśmiechnąłem się najpaskudniej, jak tylko umiałem.

– Nie wygłupiaj się, Grisza. Z ciebie taki urzędnik, jak ze mnie rolnik. Posadzili cię za tym cholernym biurkiem, bo nie umiesz porządnie trzymać karabinu. Powinieneś być im wdzięczny. Gdyby przydzielili cię do ochrony stacji, nie przetrwałbyś jednej nocy.

Kropelka potu spłynęła po czole chłopaka, padając na stos leżących przed nim kartek. Wiedział, że mam rację.

– Potrzebuję pieniędzy – powiedziałem spokojnym głosem. – Pokaż mi, co masz.

Grisza podsunął mi notatnik i przybliżył lampę naftową, abym mógł bez problemu odczytać jego studenckie bazgroły.

– Ech – westchnąłem i zacisnąłem prawą pięść. – Powiedz mi po prostu, kto płaci najwięcej.

– Nina.

– Czego chce?

– To miejscowa farmaceutka. Potrzebuje kogoś, kto dotrze na Krasnosielską i przyniesie jej jakieś składniki, bez których nie może przygotować lekarstw.

Nie musiałem rzucać okiem na mapę, by wiedzieć, że wypad na Krasnosielską jest wyprawą samobójczą. Musiałbym mieć sporo szczęścia, aby wrócić stamtąd w jednym kawałku.

– Grisza… – Pokręciłem głową. – Powiedziałem, że potrzebuję pieniędzy. Ale nie aż tak.

Chłopak uśmiechnął się pod nosem.

– Rzeźnik szuka człowieka, który dostarczy zamówienie na Sokoł.

– Stawka? – Skrzyżowałem ręce na piersi.

Grisza przekartkował kilka stron.

– 10 papierosów i 20 naboi, kaliber .45 ACP.

Wbiłem wzrok w osmolone szkło lampy i przez kilka sekund próbowałem ocenić, czy wyprawa na Sokoł jest warta tej ceny.

– Masz coś jeszcze?

Chłopak ponownie przekartkował notatnik, sunąc palcem po pożółkych liniach.

– Jakiś Borys poszukuje trójki mężczyzn, którzy są wysocy i dobrze zbudowani.

– Czyli ty odpadasz – rzuciłem z przekąsem.

– Ty również – zripostował. – Mięśniak z ciebie żaden.

Wybuchnąłem śmiechem i rozczochrałem mu włosy.

– Już się tak nie wściekaj. – Puściłem oczko, chociaż nie jestem pewien, czy to dostrzegł w panującym dookoła półmroku. – Mów lepiej, na co mu aż trójka chłopów?

Grisza spojrzał w notatki i wyrecytował.

– Na Lenińskim Prospekcie czeka metalowa skrzynka na narzędzia, którą trzeba odebrać u kobiety o imieniu Tasza. Po okazaniu jej listu polecającego, ową skrzynkę należy dostarczyć na Aleksandrowski Sad, tam odbierze go niejaki Iwan Stachowski. Wynagrodzenie na osobę: 3 magazynki, kaliber 7,62 mm.

Wbiłem wzrok w chłopaka i zacząłem drapać się po brodzie. Znałem kilku ludzi z Lenińskiego Prospektu i doskonale wiedziałem, że tamtejsze

metalowe skrzynki na narzędzia – paradoksalnie – nie służą do przechowywania narzędzi. Może i nigdy nie studiowałem, ale głupi nie jestem. Jeśli ktoś potrzebuje trzech rosłych mężczyzn, aby dostarczyć przesyłkę do centrum moskiewskiego metra, to ewidentnie chodzi o przemyt prochów. Cóż, przynajmniej płacili uczciwie.

– Jest tam jakaś wzmianka, o której wyruszamy? – Wskazałem głową na pożółkły notatnik.

– Jutro o szóstej, tuż po porannej zmianie warty.

Klepnąłem chłopaka w ramię.

– Jeszcze będą z ciebie ludzie.

***

– Głuchy jak pień!

– Co znowu, Nikołaju? – rzuciłem zirytowany, a moje westchnienie przemieniło się w parę wodną, która w ułamku sekundy rozpłynęła się w bezkresnej otchłani pustego tunelu.

– Pytałem, dlaczego dorabiasz sobie jako kurier?

Trzeba przyznać, że ostatnio miałem farta, jeśli chodzi o trafianie na kretynów. Na pierwszy rzut oka Nikołaj wydawał się sympatyczną osobą, ale czar prysł, gdy tylko opuściliśmy stację. Był wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną lekko po trzydziestce. Byłem pewny, że okaże się poważny, a tymczasem przez cały czas gadał jak opętany. Stawiam mój karabin, że jeśli gdzieś w pobliżu były jakieś mutanty, już dawno przed nim uciekły, obawiając się zagadania na śmierć. Tutaj, kilkanaście metrów pod ziemią, ludzie powinni się hamować, jeśli chcą żyć w spokoju. Aż dziw bierze, że do tej pory nikt nie pozbawił go przednich zębów.

– Pracuję jako wartownik – rzuciłem przed siebie, nie spuszczając z oczu drugiego towarzysza, Michaiła, który szedł jakieś pięć metrów przed

nami. – Od dawna nikt nie zaatakował naszej stacji, więc zarządca kazał obciąć pensje. Jakiś rok temu mogłem sobie pozwolić na picie w barach i cotygodniowe wizyty w burdelu. Dziś, nawet kiedy sobie dorabiam, stać mnie jedynie na najsłabsze trunki i najtańszą dziwkę płaską jak deska.

– No tak – przytaknął Nikołaj – przecież zawsze chodzi o seks.

Idący przed nami Michaił zatrzymał się gwałtownie i zgasił swoją latarkę. Uniósł potężną dłoń, dając znać, abyśmy się zatrzymali i przykucnęli.

Serce zabiło mi mocniej.

– Co jest? – szepnąłem, próbując przebić wzrokiem ciemność, lecz ten uciszył mnie gestem.

10 sekund…

Słyszałem przyspieszony oddech Nikołaja, który skulił się za przykucniętym Michaiłem. Ten jednak najwyraźniej nic sobie z tego nie robił, tylko spokojnie mierzył lufą w jakiś odległy punkt ciemnego tunelu.

30 sekund…

Zaczęły pocić mi się dłonie. Czułem, jak palec powoli zsuwa się ze spustu.

45 sekund…

Lodowata kropla potu spływała po moim karku.

– Tam ktoś jest. – Michaił jeszcze bardziej przybliżył oko do celownika. – Wiktorze, podaj mi swój automat.

– Słucham? – wypaliłem zaskoczony.

– Oni są jakieś 40 metrów przed nami – powiedział to z takim przekonaniem, jakby informował mnie, że jesteśmy pod ziemią. – Nie ma szans, bym załatwił ich ze strzelby. Pocisk rozleci się w połowie drogi. Bądź więc tak miły i podaj mi swój automat, żebym mógł ich zdjąć.

Osłupiałem. Kiedy ostatni raz pożyczyłem komuś karabin – mojego ukochanego nikonowa – nie zobaczyłem go już więcej. Do dziś pluję sobie

w brodę. Gdyby nie ta pieprzona speluna, w której oddałem go w zastaw za wódę, pewnie nadal miałbym go przewieszonego przez ramię. Cholerny nałóg. Cholerny barman. Sukinsyn wiedział, że AN-94 to prawdziwa perełka, i czym prędzej sprzedał go lokalnemu stalkerowi. Zanim wytrzeźwiałem i zrozumiałem, co się stało z moja ukochaną bronią, stalker już dawno opuścił stację.

– Wiktorze! – Nikołaj machał do mnie ręką, chowając się za plecami Michaiła. – Na co czekasz? Daj mu ten karabin, do jasnej cholery!

Rzuciłem okiem na czarną otchłań przed nami, a następnie na mój automat. Zamknąłem oczy, westchnąłem i rzuciłem karabin Michaiłowi. Mężczyzna złapał go zręcznie jedną ręką.

– Potrzymaj – szepnął do Nikołaja, podając mu swoją strzelbę.

Wbiłem wzrok w ciemność, próbując wypatrzeć choćby zarys jakiejś sylwetki.

Ciszę przerwał odgłos uderzenia.

– Aaach… – Michaił padł twarzą na ziemię.

Nie rozumiejąc, co się dzieje, wpatrywałem się bezmyślnie w Nikołaja, który najpierw kopnął mój karabin, leżący obok Michaiła, a następnie szturchnął mężczyznę butem, aby sprawdzić, czy jest nieprzytomny.

– Co się stało?! – niemal krzyknąłem.

To był duży błąd. Nikołaj przypomniał sobie o mojej obecności i wymierzył we mnie strzelbę.

– Tylko bez głupich numerów, mam cię na muszce.

Byłem w szoku. Próbowałem dyskretnie sięgnąć po pistolet, schowany w kaburze przy pasku. Nikołaj, widząc to, skoczył do mnie i kopnął mnie z całej siły w prawą dłoń.

– Aaaaaa! – zawyłem i upuściłem broń na tory.

– Zamknij się, albo wpakuję ci kulkę między oczy!

Lufa strzelby, którą trzymał Nikołaj, była teraz jakieś trzy centymetry przed moją twarzą.

– Będziesz współpracował, czy też chcesz gryźć piach?

– Pierdol się, Nikołaju! – Splunąłem na niego. – Pierdol się!

Mężczyzna jakby tylko czekał na pretekst. Obrócił strzelbę, zamachnął się i uderzył mnie kolbą. Poczułem piekący ból w okolicach skroni. Sekundę później runąłem nieprzytomny na ziemię.

***

Pierwsze, co poczułem, kiedy się ocknąłem, to paskudny ból głowy i strużka krwi spływająca mi po policzku. Przez kilka sekund leżałem na plecach, wpatrując się bezmyślnie w rozpadający się sufit, z którego wystawały dwie zardzewiałe rury. Kiedy w końcu udało mi się zebrać siły, postanowiłem rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Ściany oświetlała pojedyncza lampa naftowa, ale było tu tak ciasno, że nawet niewielkie źródło światła w zupełności wystarczało. Pokój wyglądał jak schowek na narzędzia. Po prawej znajdowały się dwie niewielkie szafki, na których leżały różnego rodzaju piły oraz gumowy młot, natomiast po lewej zamontowano wąskie metalowe drzwi zamykane na zasuwę.

Postanowiłem wstać i je otworzyć, ale kiedy tylko się poruszyłem, zrozumiałem, że jestem związany. Do tej pory zdawało mi się, że leżę na łóżku, jednak teraz dotarło do mnie, że zostałem przykuty do stołu, który aż lepił się od zaschłej krwi i cuchnął niemiłosiernie.

Metalowe drzwi otworzyły się, a w przejściu stanął Nikołaj.

– O! – Mężczyzna ruszył w moją stronę. – Obudziłeś się!

– Tyyyy… – warknąłem przez zaciśnięte zęby i próbowałem dosięgnąć go pięścią, zapominając, że jestem uwięziony.

– Spokojnie, tygrysie – zachichotał Nikołaj. – Lepiej oszczędzaj siły.

Mężczyzna zamknął za sobą drzwi i podszedł do dwóch szafek, otwierając po kolei każdą z szuflad.

– Gdzie jest Michaił? – zapytałem, powoli przypominając sobie, co się stało w drodze na Leniński Prospekt.

– Jest cały i zdrowy, wraca właśnie do domu. O niego bym się teraz nie martwił.

Jeszcze raz szarpnąłem rękoma, próbując się uwolnić, ale bezskutecznie. Moje nadgarstki i kostki zostały przywiązane grubym pasem, którego nie przeciąłby nawet nóż taktyczny.

– Czego ode mnie chcesz, ty chory skurwysynu?! – wykrzyknąłem.

Nikołaj, do tej pory obrócony do mnie tyłem, podszedł do stołu, na którym leżałem, i oparł na nim ręce.

– Widzisz – zaczął bardzo spokojnym tonem, jakby opowiadał dziecku jego ulubioną historię – zarządcy stacji wmawiają nam, że te puszki, które przynoszą stalkerzy, i te wszystkie grzyby, które tak wytrwale hodujemy na stacjach, to całkowicie nieszkodliwe produkty. Mało tego! Ich zdaniem mięso naszych świń jest pozbawione toksycznych substancji i są zdrowym, wysokokalorycznym pożywieniem! Nie muszę ci chyba mówić, że to stek bzdur? Puszki są skażone, grzyby rosną dzięki ekskrementom, które w tunelach zostawiają najróżniejsze mutanty, a zwierzęta karmi się potajemnie zwłokami potworów atakujących lokalne posterunki. Ha, zdziwiony?! No tak, nikt ci o tym nie powie, ale myślałem, że skoro jesteś jednym ze strażników, zauważyłeś chociaż czasem coś podejrzanego, a tymczasem ślepy jesteś jak kret!

– Naćpałeś się czegoś, Nikołaju – rzuciłem hardo i splunąłem na ziemię. – A co ja mam do tego wszystkiego? Po jaką cholerę mnie związałeś?

– Ich jedzenie jest skażone. – Mężczyzna zaklął pod nosem. – Wszystko tutaj jest przeterminowane o kilkadziesiąt lat lub nafaszerowane jakimś

świństwem. Człowiek nie może żyć bez diety bogatej w białko. Prawdziwe białko.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie udawaj głupiego, Wiktorze. Na pewno zauważyłeś zaschniętą krew.

Nikołaj obrócił się do mnie plecami i wrócił do przeszukiwania szafek. Ponownie rozejrzałem się po pomieszczeniu, rozpaczliwie poszukując jakiejkolwiek drogi ucieczki.

– Dlaczego wypuściłeś Michaiła? – spytałem, aby zyskać trochę na czasie.

– Wypuściłem? – odrzekł zdziwiony, nie przerywając grzebania w szafkach. – Nigdy go nie więziłem. Pomaga mi.

– Pomaga? – Nie wierzyłem własnym uszom.

– Tak – potwierdził mężczyzna. – Odgrywamy scenkę i rozbrajamy delikwenta. Łupem dzielimy się po połowie – ja biorę ciało, on ekwipunek.

– Jesteście chorzy. – Splunąłem tak daleko, jak tylko umiałem.

– Nie złość się. Nie jesteś pierwszym, który się nabrał na ten numer.

– Długo to robicie?

– Od kilku miesięcy. – Nikołaj wzruszył ramionami. – Co jakiś czas musimy się jednak przemieszczać, zwłaszcza kiedy liczba zaginięć zaczyna niepokoić mieszkańców stacji.

Szarpnąłem mocno rękoma, rozpaczliwie próbując się uwolnić. Bezskutecznie.

– Ha! – mężczyzna krzyknął wesoło i przysunął do lampy długi, lepiący się od krwi skalpel, by lepiej mu się przyjrzeć. – Wybacz, że go nie wysterylizowałem, lecz nie sądzę, byś miał mi to za złe.

Poczułem, jak zalewa mnie fala paniki. Zacząłem rozpaczliwie rzucać się po stole. Chociaż wciąż walczyłem o życie, jednocześnie miałem ochotę po prostu leżeć bez ruchu, pozwolić, by moje oczy zaszły łzami, i spokojnie

poczekać, aż to wszystko się skończy. Aż śmierć przykryje mnie lodowatym kocem i ułoży do snu.

– Przykro mi, że nie mogę cię wpierw zabić – Nikołaj stał nade mną i wiązał rzeźnicki fartuch – ale mięso zbyt szybko nadawałoby się wyłącznie do wyrzucenia. Nie martw się, będzie bolało tylko przez chwilę. Po kilku cięciach stracisz przytomność.

Patrzyłem mu w oczy. Widziałem w nich podniecenie. Kiedyś, jeszcze przed wybuchem wojny, lubiłem oglądać filmy przyrodnicze. Rosyjskie stacje rzadko puszczały amerykańskie produkcje, ale raz dziennie emitowano program o obieżyświacie z Nowego Jorku. Wysportowany mężczyzna zwiedzał najróżniejsze rejony, ryzykując własnym życiem, aby przedstawić telewidzom zapierające dech w piersiach ujęcia. W jednym z odcinków wybrał się na safari. Po kilkunastu godzinach filmowania najróżniejszych zwierząt dopisało mu szczęście i nagrał kilkusekundowe polowanie tygrysicy na antylopę. Był tak podekscytowany, że zapomniał o wszelkich środkach ostrożności. Nakręcił naprawdę wspaniałe ujęcia, będąc zaledwie parę metrów od centrum wydarzeń. Tygrysica nagle popatrzyła w kamerę, a ta uwieczniła jej wzrok. Była podniecona zapachem swojej ofiary. Świadomością, że czeka ją wspaniała uczta. W oczach Nikołaja iskrzyła się ta sama, zwierzęca euforia.

Rozpaczliwie szarpnąłem rękami, licząc, że poluzuję trzymający mnie pas, co da mi możliwość ucieczki. Mój wysiłek po raz kolejny zdał się na nic. Próbowałem się pocieszać, przypomnieć sobie, dokąd wybrał się amerykański podróżnik w następną podróż, aż w końcu uświadomiłem sobie, że scena z tygrysicą była ostatnią, a następnych odcinków nigdy nie nakręcono.

– Ciiii. – Nikołaj przydusił mnie do łóżka i uniósł skalpel. – Nie wierć się. Za chwilę będzie po wszystkim.

Miałem ochotę zawyć. Chciałem, aby mój krzyk rozniósł się po pustym tunelu. Aby gdzieś z oddali przyszło pocieszenie, zapewnienie, że wszystko będzie dobrze. Że za chwilę znów przespaceruję się słonecznymi ulicami moskiewskiego parku i wypiję gorące cappuccino przy placu Czerwonym.

Metalowe drzwi otworzyły się z hukiem, wypadając z zardzewiałych zawiasów.

– Co do… – Zaskoczony Nikołaj obrócił głowę.

Powietrze przecięła seria z karabinu i rozniósł się odgłos grzechoczących o podłogę łusek. Kilkudziesięciokilogramowe ciało Nikołaja zwaliło się na mnie całym ciężarem. Z ust mężczyzny wypłynęła strużka krwi, a z oczu zniknęło łowcze podniecenie, ustępując miejsca martwej pustce.

Usłyszałem ciężkie kroki i jeszcze cięższy oddech. Chwilę później ktoś zrzucił ze mnie truchło Nikołaja.

Milczałem, czekając cierpliwie na dalszy bieg wydarzeń, jednak kiedy światło lampy naftowej oświetliło twarz mojego wybawcy, rozpoznałem znajome rysy Michaiła.

– Jesteś cały? – spytał.

Wciąż milczałem, nie będąc pewny odpowiedzi.

– Hej – Michaił szturchnął mnie w ramię. – Czy jesteś cały?

– Tak… Chyba tak.

– Masz dużo szczęścia, kowboju. – Mężczyzna zaczął rozpinać trzymające mnie pasy.

– Nikołaj mówił, że mu pomagasz.

– Pomagałem, ale widocznie nie jestem aż takim materialistą, jak wcześniej sądziłem. Nie masz pojęcia, ile osób straciło przed tobą życie w ten sposób. Może i miałem dzięki temu niezły zarobek, ale już dłużej tak nie potrafię. Za dużo istnień wyparowało z metra przez moją chciwość.

Michaił rozpinał mi właśnie ostatni pas, kiedy zacząłem płakać, dając upust emocjom.

– Przestań. Już po wszystkim. Masz. – Mężczyzna wepchnął mi w ręce mój AK-74. – Swoje rzeczy znajdziesz w dużym worku za drzwiami. Nie marnuj czasu, idź prosto do najbliższej stacji.

Stanąłem przed Michaiłem i spojrzałem mu prosto w oczy. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, po prostu skinąłem głową w podzięce.

– Obyś był tego wart. – Machnął ręką i wygonił mnie z pomieszczenia.

Katarzyna Auguścik

Na Poliance

Padłem niemal nieprzytomny. Nie wiedziałem, gdzie jestem, serce kołatało mi w piersi jak szalone, a o oddechu lepiej nie mówić. Pochyliłem się do przodu i oparłem dłonie na udach, żeby móc zaczerpnąć tchu. Mordercza ucieczka wyczerpała mnie całkowicie. Zaraz, zaraz, przed czym to ja tak wiałem? Mój Boże, ze strachu nawet nie pamiętam.

Wyraźnie słyszałem kroki w tunelu, ktoś chyba za mną biegł, a może to były moje kroki? No, teraz to już sam nie wiem. Te tunele są straszne, poruszanie się nimi w pojedynkę budzi wszechogarniający lęk, a racjonalna część umysłu wyłącza się jak popsuta latarka. W ogóle w tunelach całkiem zapominasz, że masz rozum, a do głosu dochodzi to, co irracjonalne.

Dokładnie tak stało się ze mną. Myślę, że tam nic nie było, że to tylko mózg spłatał mi figla. Byłem już tak wystraszony, że postanowiłem nie iść dalej.

Początkowo nawet nie miałem pojęcia, że to Polianka. Fajnie, opuszczona stacja – pomyślałem sobie wtedy. Dopiero całkowity spadek adrenaliny i powrót do rzeczywistości pozwoliły mi uświadomić sobie w pełni, gdzie się znalazłem.

Polianka… Boże, tylko nie to. Wyglądało na to, że przyjdzie mi spędzić noc w najgorszym miejscu, jakie mogłem znaleźć w tym pieprzonym, zatęchłym metrze.

I wtedy stacja nagle się zmieniła. Na samym jej środku stał stół, czy może raczej ołtarz, nakryty śnieżnobiałym obrusem. Biel była porażająca.

Musiałem przysłonić oczy, żeby nie oślepnąć. Na ścianie pojawił się dziwnie znajomy schemat. Chwilę mi zajęło, nim sobie uświadomiłem, że to plan metra. Wciągnąłem ze świstem powietrze. Mój Boże, skąd to się tu wzięło? Tunele na planie tworzyły ciemne wstążki, które przecinały się i rozgałęziały na wszystkie możliwe strony. Stacje wyglądały jak niewielkie plamki pośród plątaniny tych wstążek.

Przeniosłem wzrok na ni to stół, ni to ołtarz, i patrzyłem spod przymrużonych powiek. Chciałem podejść i dotknąć materiału obrusa, ale nogi wrosły mi w ziemię i mogłem tylko stać i obserwować. W ogóle w życiu widziałem różne dziwne rzeczy, ale to odebrało mi dech i mowę i byłem pewny, że zaraz postradam zmysły. Na ołtarzu stała stara waga szalkowa; osobliwy wydał mi się pewien detal – otóż jedna szalka była śnieżnobiała, druga zaś czarna. Na ołtarzu oprócz wagi leżała szachownica z ustawionymi na niej figurami.

Boże jedyny, czy to siedziba jakiejś sekty? Tak chyba normalna stacja nie wygląda. Tylko dlaczego sekta wybrała Poliankę na swoją siedzibę? I po co im plan metra? Może przygotowują wielką inwazję na całe moskiewskie metro, pomyślałem sobie i jak głupi gapiłem się z rozdziawioną gębą na ten piękny, ale jednocześnie straszny ołtarz.

I kiedy tak stałem, pojawiła się ona. Była piękna, cała w bieli, miała białe włosy spływające miękką kaskadą na plecy, twarz o idealnych rysach, a odcień jej skóry przywodził na myśl porcelanę. Ubrana była w śnieżnobiałą, skrzącą się szatę utkaną z niezmiernie delikatnego materiału. Stała na palcach, z lekko odchylonymi ramionami, i mogłoby się wydawać, że zaraz wzbije się w powietrze i poszybuje wysoko ku niebu. Tyle że tu nie było nieba. Twarz miała nieruchomą i pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, jedynie bardzo jasne i niebieskawe oczy patrzyły

z dojmującym smutkiem i głęboką troską. Jak żyję, nigdy nie widziałem równie pięknej kobiety.

Ech, nie ma co, ładne laleczki w tej sekcie mają – pomyślałem. Ona jednak zachowywała się tak, jakby w ogóle mnie nie widziała.

Po chwili dołączył do niej mężczyzna, ale wyglądał zgoła odmiennie. Owszem, był przystojny i przyznać trzeba – choć ekspertem od męskiej urody to ja nie jestem i gustuję w kobietach – że nasze dziewczyny przebierałyby nogami na jego widok. Wysoki, postawny, czarnowłosy, oczy miał czarne jak węgielki, ale straszne, pozbawione białek. Patrząc w te oczy mogłoby się wydawać, że spogląda się w bliźniacze lufy karabinu. Był ubrany w dobrze skrojony, czarny skórzany płaszcz, który podkreślał idealną muskulaturę jego ciała.

Nie mogłem oderwać wzroku od tej dziwnej pary; oboje wydali mi się wyznawcami tej samej sekty, tyle że on wyglądał na jakiegoś guru, ojca założyciela, czy jak tam inaczej go zwać. Mężczyzna również zdawał się mnie nie widzieć. Dziwne, przecież stałem jakieś dziesięć metrów od nich. Chciałem nawet się odezwać, ale głos uwiązł mi gdzieś w krtani i ni cholery nie potrafiłem go wydobyć z ust, w których miałem istną pustynię. Przyznaję, że poprzedniego dnia dałem w palnik z moim przyjacielem Miszką i może jeszcze męczył mnie gigantyczny kac, ale wątpię, żeby to wszystko było sprawką morderczych skutków upojenia samogonem.

Między egzotyczną parą wyczułem jakieś dziwne napięcie, które dosięgło i mnie, roztaczając dziwną aurę, straszną i cudowną zarazem. Zdawało mi się, że ta energia między nimi zaczęła przybierać formę materialną, skrzącą się i wirującą wokół całej stacji. Cząsteczki tej energii zdawały się zderzać ze sobą, wywołując słabe wyładowania, którym towarzyszyły ledwie zauważalne rozbłyski. Coś zaczęło dosłownie wbijać mnie w ziemię, miałem wrażenie, że naciska na moją czaszkę, jakby chciało wgnieść kości

do środka. Poczułem, że nie dam rady dłużej stać, i klapnąłem z impetem. Energia wirowała jak szalona, ale teraz wyraźnie dało się odróżnić dwie jej formy. Ta skrząca się musiała należeć do kobiety. Zaś ta wbijająca kości mojej czaszki do wewnątrz była niemal czarna, ale połyskliwa, i do tego ten ucisk…

Obie formy to zderzały się ze sobą, to oddalały, sczepiały się na chwilę i odskakiwały. Byłem pewien, że oszalałem i mam ciężką schizę.

To nie było jednak wszystko, bo oto stałem się świadkiem najdziwaczniejszej rozmowy, jaką kiedykolwiek w życiu słyszałem. Pomyślałem sobie, że tych dwoje musi być nieźle porąbanych i gdyby ich rozmowa miała miejsce przed katastrofą, w bardziej zaludnionym miejscu, jak nic zamknęliby ich w psychiatryku.

– Witaj, Biała Pani, dziękuję, że przybyłaś na moje wezwanie. Czy mogę nazywać cię Nataszą? Wiesz, Biała Pani to takie patetyczne, a ty jesteś podobna do mojej Nataszki. A na mnie mów Borys, Borys to dobre imię dla kogoś takiego jak ja. Kobieta uniosła brwi, ale jej porcelanowa twarz pozostała nieruchoma.

Głos mężczyzny, Borysa, jak kazał się nazywać, wypełnił tunele złowieszczym echem. Obleciał mnie strach, a ciało oblał lodowaty pot.

– Po co mnie wezwałeś? – Głos kobiety brzmiał czysto, był łagodny i niósł ukojenie skołatanym nerwom. Poczułem ciepło w zlodowaciałym ze strachu sercu.

– Musimy pomówić, Nataszo, dobrze wiesz o czym.

– O dniu Wielkiej Apokalipsy? – Idealne ciało Nataszy, ja również będę ją tak nazywał, drgnęło, gdy wypowiadała te słowa.

– Wielkie Sprzątanie brzmi lepiej, mniej podniośle, ale oczywiście nazywaj to jak chcesz, ja zostanę przy dniu Wielkiego Sprzątania, jeśli nie

masz nic przeciwko. Wszak oba te wyrażenia to synonimy, mała Nataszo. – Borys zaśmiał się rubasznie, a ten śmiech był równie straszny co szalony.

– Wiem, że przyłożyłeś do tego rękę, Borysie, nie musisz zaprzeczać – powiedziała, krzyżując ramiona na kształtnej piersi.

– Skądże znowu, to nie moja sprawka. Ludzie sami do tego doprowadzili. Moja ingerencja była absolutnie zbędna. Tak swoją drogą ciekawe, gdzie wy byliście, kiedy zaczęło się Wielkie Sprzątanie?

Natasza popatrzyła na rozmówcę swoimi smutnymi oczami, ale on tylko zaśmiał się szaleńczo. Wyglądało na to, że nie miała nic do powiedzenia, Borys uderzył w czuły punkt i wiedział o tym aż za dobrze, a grymas na jej porcelanowej twarzy mówił sam za siebie.

– Nie odpowiesz, wiem, niemniej jednak musimy załatwić sprawę moskiewskiego metra, dobrze o tym wiesz.

Cholera, o czym on mówił? Sprawa moskiewskiego metra? Czy on chce podbić całe to parszywe metro tylko dla siebie? Krew w moich żyłach zamieniła się w ogromną skrzeplinę, która zaczęła przesuwać się po całym krwioobiegu. W głowie się poprzewracało temu Borysowi, żeby całe metro chcieć zagarnąć – pomyślałem.

– O czym tu rozmawiać, Borysie? Zdaje się, że ludzie doskonale radzą sobie tutaj bez naszej ingerencji – powiedziała zjadliwie, co nie brzmiało przyjemnie w porcelanowych ustach.

– Mam dla ciebie propozycję, myślę, że interesującą. – Borys odwrócił się w kierunku planu metra, a ona zrobiła dokładnie to samo. Oboje zgodnie popatrzyli na plątaninę tuneli i punkciki stacji.

– Sama widzisz, że źle się dzieje w metrze moskiewskim.

Skinęła głową, ale nadal milczała. Nie mogłem odmówić mu racji, źle się działo, rzeczywiście, i dzieje się nadal, zważywszy, że stacje tworzą osobne frakcje, sojusze i religie. Komuchy, Rzesza – to chyba największe

zagrożenie, a już na pewno jedno z wielu, że wspomnę jeszcze tylko epidemie, zabójstwa, rozboje, kradzieże, przestępczość zorganizowaną… zresztą długo by wymieniać.

– Widać Wielkie Sprzątanie niczego ich nie nauczyło i czas w końcu to zmienić, mała Nataszo – powiedział i powiódł palcem po mapie. Kobieta spojrzała na niego z dojmującym smutkiem w oczach.

– Zasługują na kolejną szansę, czyż nie?

– Nareszcie zbliżamy się do meritum, cudownie. Pozwól jednak, że najpierw przedłożę ci powody, dla których wychodzę z moją propozycją. – Przejechał dłonią po gładko zaczesanych włosach i zerknął w kierunku szachów. – A powody moje są proste: metro w takim kształcie nie ma racji bytu, daję mu sto, może dwieście lat, ale nie więcej, i jego mieszkańcy wymrą jak muchy. Na powierzchnię długo jeszcze nosów nie wystawią, a człowiek nie jest stworzony do życia pod ziemią. To oczywiste, że mógłbym ich unicestwić skinieniem małego palca i byłoby po sprawie, w jednej chwili położyłbym kres tym kilkudziesięciu tysiącom istnień ludzkich.

Boże, o czym ten gość mówił? Skrzeplina powróciła do krwioobiegu, szczelnie zatykając naczynia krwionośne. Po co ja w ogóle tego słucham, może pójdę sobie stąd… Tak, muszę iść – myślałem – bo siedzieć tu i słuchać tych bredni o zagładzie całego metra, które wszak stało się naszym domem, było szaleństwem mogącym zakończyć się moją śmiercią. Jeszcze chwila i zawał serca albo wylew gotowy.

– Sama widzisz, co się dzieje. Komuniści, Rzesza, przestępczość zorganizowana, epidemie, kradzieże, gwałty. To nie prowadzi do niczego dobrego. Zważ też, moja maleńka, że metro nie jest nieskończenie wielkie i ma swoje granice, a ludzie będą się rozmnażać, i to jak króliki, w związku z czym metro stanie się dla nich za ciasne. Zacznie brakować pożywienia,

bo nie będą w stanie wykarmić wszystkich gęb, a na grzybach i wieprzowinie długo nie pociągną, a co za tym idzie niedożywienie stanie się nową chorobą cywilizacyjną, o ile już nią nie jest. Z niedożywienia lęgną się również paskudne choroby, oboje doskonale wiemy, że przyjdzie kolejny pomór, który tym razem nikogo nie oszczędzi.

Wizja upadku metra była posępna i straszna, tylko skąd to wszystko wiedział? Kobieta jakby czytała w moich myślach, bo spytała:

– Borysie, miałeś jakieś wizje?

On uśmiechnął się ironicznie.

– Mała Nataszo, nie trzeba mieć daru jasnowidzenia, żeby przewidzieć tak oczywiste fakty.

– Można dać im szansę i nie dopuścić do takiego obrotu sprawy, dobrze wiesz, że mieszkają tu również prawi ludzie – zaoponowała, a jej porcelanowa twarz drgnęła nieznacznie.

– Dać im szansę, powiadasz. Tyle że to zależy od nich, a póki co oni wcale nie są zainteresowani twoją szansą – odparł Borys, krzywiąc usta w pogardliwym uśmiechu.

– Sam mówiłeś o darze jasnowidzenia, możesz go użyć, żeby przewidzieć przyszłość – powiedziała, zerkając na wagę szalkową. Czarna szalka wyraźnie przechylała się w dół, jakby była obciążona niezliczoną liczbą ludzkich przewin.

– Ty również możesz użyć tego daru, Nataszo, jednak powinnaś przecież wiedzieć, że dokładne przewidzenie tego, co się stanie, jest praktycznie niemożliwe. To, co wydarzy się w przyszłości, jest całkowicie zależne od decyzji podjętych tu i teraz, zatem możesz ujrzeć wiele rozwiązań frapującego nas problemu.

Natasza znów skinęła głową i popatrzyła smutno.

– Co zatem proponujesz, Borysie? – spytała smutnym głosem.

Borys klasnął w dłonie, po czym wskazał szachownicę.

– Zagrajmy w szachy o losy moskiewskiego metra, to idealna stawka – powiedział, szczerząc białe zęby w szalonym uśmiechu.

Kobieta milczała, a ja poczułem mrowienie na całym ciele. On chciał grać w szachy o losy metra, o nasze losy, o nasze życie. Nie mogłem tego słuchać, to, co ten świr mówił, było straszne. Z ogromnym trudem podniosłem się, ale oni nadal mnie nie widzieli. Cząsteczki materialnej energii wciąż wirowały dookoła, a ja stałem, wpatrując się w czarne, połyskujące szaleństwem oczy.

– A więc, maleńka Nataszo, zagrasz ze mną o losy moskiewskiego metra?

Nie usłyszałem odpowiedzi kobiety, bo w te pędy wybiegłem ze stacji, niesiony niepohamowaną chęcią opuszczenia tego strasznego miejsca. Prawdę mówiąc, odpowiedź Nataszy nie interesowała mnie na tyle, żeby zostać tylko po to, by jej wysłuchać. Mogła zgodzić się albo nie, innego wszak wyboru nie miała, prawda?

Kiedy się ocknąłem, leżałem na środku torów w tunelu i zastanawiałem się, czy to nie był sen, ale zważywszy na jego realność, nie mógł nim być. O ile wiem, snów nie pamięta się aż tak dokładnie po przebudzeniu, a ja to wszystko pamiętałem i nadal pamiętam…

Opuściłem tę przeklętą stację i wróciłem do domu. Ciągle jednak coś kazało mi tam wrócić, mimo że wiedziałem, iż wszystkich, którzy mają wątpliwą przyjemność przebywać na Poliance, ogarniają haluny.

Wróciłem więc, jak nakazał mi wewnętrzny głos. Omiotłem stację uważnym spojrzeniem i wtedy ich zobaczyłem. Piękna Natasza i mroczny Borys bez wątpienia grali w szachy, a ja doskonale wiedziałem, co jest stawką w tej grze.

malynosorozec

Pazury i kły

Nie ma chyba wśród nas człowieka, który choć raz nie otarł się o śmierć. Opowiem wam historię o jeszcze jednym takim przypadku. Będzie to opowieść o grozie, szaleństwie i nienawiści. To prawda, żyjemy w niebezpiecznym świecie. Chyba jeszcze nigdy na człowieka nie czyhało tyle zagrożeń. Ale cały czas najgorszym jesteśmy my sami…

A zaczniemy od bajek… Ale takich nie dla dzieci. O wilkołaku. Było wiele wersji tej historii. Ci z was, którzy pamiętają poprzedni świat, na pewno potrafią przypomnieć sobie kilka. Pełne brutalności, śmierci i grozy. W sumie to zupełnie jak wszystko, co nas otacza. Wilkołak był człowiekiem zamieniającym się w wilka. Żądną krwi bestią, nie potrafiącą się kontrolować. Wilk wcześniej czy później brał górę nad człowiekiem. I zawsze kończyło się to krwawą jatką.

Moja opowieść nie będzie jednak bajką. Wydarzyła się naprawdę kilka miesięcy temu. I główną rolę gra w niej właśnie człowiek-wilk.

Nie róbcie takich min. Przecież wszyscy słyszeliście plotki. Takie rzeczy szybko rozchodzą się po metrze. Historie i legendy o kłach i pazurach czających się w mroku tuneli. Wycie, od którego najmężniejszemu miękną kolana. Ślepia w ciemności, w których czai się śmierć. Każdy z was pewnie zna kogoś, kto zna kogoś, kto spotkał w metrze wilkołaka. Nie zaprzeczajcie. I nawet jeśli nie dawaliście wiary tym opowieściom, to zapewniam was, że jest w nich sporo prawdy.

Wszystko sprowadza się do jednego człowieka: Dymitra Wasiljewicza. Wydarzenia, o których opowiem, miały miejsce na dwóch stacjach na północy metra, obecnie opuszczonych. Na jednej z nich żył właśnie Dymitr. Muszę wam opowiedzieć coś więcej o tym człowieku, abyście w pełni zrozumieli historię. Miał on na tyle dużo szczęścia, że uratował się z katastrofy wraz z ukochaną. Owszem, stracił rodzinę i przyjaciół, jak niemal wszyscy, ale miał przy sobie osobę, na której najbardziej mu zależało. Byli szczęśliwi, na tyle, na ile to możliwe w tym podziemnym świecie. Do pełni szczęścia brakowało im jedynie potomstwa.

Dymitr, od czego być może powinienem zacząć, był stalkerem. I to bardzo dobrym. Był też kimś, kogo rady zasięgali wszyscy na stacji. A on chętnie jej udzielał, pomagał, interesował się losem współmieszkańców. Stacja wiele mu zawdzięczała.

Do czasu, gdy przyszło nieszczęście pod postacią zarazy. Na stacji Dymitra zginęło wtedy dwadzieścia siedem osób. W tym jego żona. Wtedy wszystko się zmieniło. Wasiljewicz o wszystko obwiniał władze. Że można się było tego spodziewać, że zamiast w broń powinni byli zainwestować w lekarstwa, że wszyscy chcą tylko napchać sobie brzuchy zamiast zainteresować się dobrem innych. Narażając siebie i innych, nie pozwolił spalić zwłok żony. Podobno pochował ją na powierzchni. I od tamtej chwili pozostawał na uboczu.

Aż w końcu poznał Nadię. Zamieszkał z nią, a ona urodziła mu córkę. Wszystko układało się dobrze, do pewnego pechowego dnia kilka miesięcy temu.

Stacja Dymitra wdała się w spór z sąsiadami. Sytuacja była bardzo napięta, w każdej chwili mogło dojść do eskalacji przemocy. Wasiljewicz próbował wykorzystać wszystkie swoje wpływy, by załagodzić spór. Chciał, żeby wszystko skończyło się bez rozlewu krwi. Na darmo.

Podobno napadnięto na niego, kiedy wracał od naczelnika stacji. Podobno to właśnie wtedy pierwszy raz się przemienił… Z ośmiu napastników ocalał tylko jeden. Straszliwie pokiereszowany zmarł kilka dni później, a historie, które opowiadał, mroziły krew w żyłach. W jednej chwili celowali w człowieka, a w następnej kły i pazury zebrały wśród nich krwawe żniwo. Podobno przemieniony w wilka Dymitr zamordował następnie żonę i córkę. Ludzie ze stacji, którzy przybyli na miejsce, widzieli, jak klęczy nad ich zmasakrowanymi ciałami. W podartym ubraniu, cały zakrwawiony… Po kilku godzinach, nie odzywając się do nikogo, ubrał się w swój kombinezon stalkera, podniósł żonę i córkę i wyszedł na powierzchnię.

Nie minęła doba, a ludzie na obydwu zwaśnionych stacjach zaczęli ginąć. Nikt nie chodził pojedynczo, ale nawet uzbrojone pięcio- czy sześcioosobowe grupy nie gwarantowały bezpieczeństwa. W tunelach słychać było przerażające warczenie. Zwłoki, które znajdowano, wyglądały makabrycznie. Po tygodniu ci, co przeżyli, wynieśli się z obydwu stacji, ale w żadnym miejscu w metrze nie mogli znaleźć schronienia. Czy odeszli w najdalszy zakątek, czy ukryli się w najbardziej ufortyfikowanych miejscach, wszyscy zginęli w ciągu miesiąca. Śmierć przyszła po wszystkich, od niemowlaków po starców, tak wielkie było szaleństwo wilkołaka. W całym metrze ludzie widywali człowieka-wilka. Większość od razu brała nogi za pas, kryjąc się za cekaemami na posterunkach granicznych. Opowiadano o wilku pojawiającym się nagle tam, gdzie chwilę wcześniej stał człowiek o oczach niczym piekielne otchłanie. Co odważniejsi decydowali się stawić czoła grozie. Żaden z nich nie przeżył, by opowiedzieć coś więcej o bestii.

Terror trwał, aż któregoś dnia grupa komandosów natknęła się na wilkołaka w jednym z opuszczonych tuneli. Nie wiem w którym. Wiem za to, co zobaczyli żołnierze. Dymitr montował przy wyjściu na powierzchnię

materiały wybuchowe. Znaleziono później podobne ładunki w kilkunastu miejscach w metrze. Wilkołak nie był tylko bezmyślną bestią! Miał plan, by nas wszystkich pozabijać. Po detonacji zalałaby nas woda. Reszty dokonałyby stwory wdzierające się z powierzchni. Nie mielibyśmy szans.

Z jedenastu komandosów przeżyło dwóch. Podobno zabili bestię, poczęstowawszy ją srebrnymi kulami, chociaż nie wiem, skąd mieliby je wziąć. Ledwo żywi dotarli na najbliższą stację i opowiedzieli, co się stało. Jednak kiedy połowa mieszkańców poszła we wskazane miejsce, znaleźli tylko dziewięć ciał.

Wilkołak musiał więc przeżyć. Wielu ludzi wciąż słyszało go w tunelach.

Nikt nie wie, jakim cudem człowiek mógł zamienić się w wilka. Wielu uważa, że Dymitr zbyt wiele czasu spędził na powierzchni… Być może tak jak w bajkach czy legendach został ugryziony przez jakąś bestię, a może zadziałało promieniowanie… Dziwniejsze rzeczy dzieją się przecież w naszym chorym świecie. A co do zniknięcia ciała, to podobno Wasiljewicz zmienił się przed śmiercią jeszcze raz w wilka. Wilkołacze ciało uleczyło rany, ale od tamtej pory nie potrafi już przybrać ludzkiej postaci. Za legowisko służy mu macierzysta stacja. Od czasu do czasu przemierza metro w poszukiwaniu nowych ofiar dla swojej nienawiści.

***

– Brawo! Brawo! Brawo, starcze. Nieźle to wszystko poskładałeś – przerwał ktoś opowiadającemu.

– Kim jesteś? I jak śmiesz wyśmiewać się ze mnie? Zdejmij ten kaptur, pokaż twarz brudasie.

– Brudasko. Nie wyśmiewam się. Wiem, że odrobiłeś lekcję; że rozmawiałeś prawie z każdym uciekinierem z owych stacji. Zanim nie dopadł ich „Wilkołak”, oczywiście. Przyznam szczerze, że ładnie to

wszystko brzmi w twoich ustach… Ale czy chcesz dowiedzieć się, jak było naprawdę?

– To ty! Teraz cię poznaję. Ciebie też przepytywałem. Pochodzisz z wilkołaczej stacji… Ale jakim cudem? Myślałem, że wszyscy zginęli.

– Ja jestem ostatnia i nie daję sobie więcej niż dobę życia. „Wilkołak” niedługo przyjdzie po mnie, ale wcześniej chciałabym uzupełnić twoją historię. Zbliżcie się do ognia i posłuchajcie, co ma wam do powiedzenia siostra Nadii, szwagierka „Wilkołaka” Dymitra Wasiljewicza.

***

Najbardziej w twojej historii, starcze, podobał mi się fragment o nienawiści. Pod tym względem wszystko się zgadza… Ale zapomniałeś o nie mniejszej sile, jaką jest miłość. To od niej wszystko się zaczęło. Od miłości Dymitra do swojej ukochanej. Później był rozdzierający serce ból i gniew po stracie. Dalej przyszła obojętność i rezygnacja. W końcu Dymitr poznał moją siostrę i zakochał się bezpowrotnie. Opuścił swoją tarczę. Tak. Wiem to na pewno: uczucie było prawdziwe i niewyobrażalnie silne. Zazdrościłam siostrze. Dymitr był wspaniałym człowiekiem.

I to właśnie przez tę miłość zrodziła się tak wielka nienawiść. Kiedy zamordowano Nadię… Tak, zamordowano! Nie zrobił tego Dymitr. Zrobili to bandyci z sąsiedniej stacji! Polowali na Wasiljewicza. Kiedy skończyli z Nadią i Oliwią, zaczaili się i czekali na powrót pana domu.

Prawdę mówiłeś, że tylko jeden napastnik uszedł z życiem. Prawdą jest, że pozostali zostali dosłownie rozszarpani na strzępy. Dymitr zabrał żonę i córkę na powierzchnię i tam pochował je obok swojej pierwszej miłości. Podobno do tej pory padlinożercy nie rozgrzebali grobu.

Byłam przy tym. Widziałam zimne, pełne nienawiści oczy Dymitra. Słyszałam, jak powiedział tylko jedno zdanie. Chcecie wiedzieć, jakie?

„Żaden z ludzi nie zasługuje, żeby żyć”. Tak powiedział i niedługo zaczęło się umieranie.

Przypuszczałam, że najpierw zginą wszyscy z obydwu zwaśnionych stacji. Ich wasz „Wilkołak” chciał zabić osobiście. To przede wszystkimi oni byli odpowiedzialni. A w dalszej kolejności reszta metra, wszyscy ludzie.

Nieprzypadkowo oddział komandosów natknął się na Dymitra w owym opuszczonym tunelu. Szukaliśmy go. Wiedzieliśmy, do czego jest zdolny. Podejrzewaliśmy, że podczas wypraw na powierzchnię zdołał zgromadzić pokaźną ilość środków wybuchowych… Uzbroiliśmy się tak, że mogliśmy szturmem wziąć połowę metra. Na Dymitra to jednak ledwo wystarczyło. I tylko ja przeżyłam…

Tak, tak, staruszku. Tutaj pomyliłeś się. Nie było dwójki ocalałych. Nie było srebrnych kul. Dymitr Wasiljewicz zginął, zabierając ze sobą dziesięcioro komandosów. Przeżyłam tylko ja i wilk.

Wilk! Rozumiecie?! Nie było żadnego wilkołaka! Był wilk, którego Dymitr wychował od szczeniaka. Wychowany na powierzchni, zmieniony przez promieniowanie. Prawdziwa bestia, doskonały zabójca dostosowany do naszego wykoślawionego świata. Całkowicie zależny od Dymitra, tak jakby istniała między nimi jakaś niesamowita więź. Tak jakby wola wilka była przedłużeniem woli jego pana… I to nie zwierzę pałało rządzą krwi, lecz człowiek ze swoją nienawiścią.

Wilk przeżył i jakimś sposobem udało mu się wynieść ciało swego pana na powierzchnię. Myślę, że wiem, gdzie je można znaleźć.

Ja jestem ostatnia na liście „Wilkołaka”. Żyję tylko dlatego, że wilk nie ścigał mnie, tylko bronił ciała Dymitra. A teraz idzie po mnie i niedługo mnie dopadnie.

Ale już się nie boję. Pogodziłam się ze śmiercią. To wy powinniście się bać. Kiedy żył Dymitr, wilk był całkowicie posłuszny jego woli. Módlcie się jednak, aby po zabiciu mnie nie zostało w nim nic z jego pana. Będzie wówczas niebezpieczny tylko dla tych, którzy zbliżą się do jego terytorium. Będzie zabijał tylko wtedy, kiedy poczuje głód… Ale jeśli jest w nim nienawiść Dymitra Wasiljewicza, to biada wam. Jak mówiłam, jest on łowcą doskonałym, idealnie przystosowanym do naszego świata. Prawdziwa Bestia, na miarę naszych czasów. Będzie polował i mordował ludzi, dopóki ktoś nie zabije jego. Albo póki nie zabije was wszystkich!

Marcin „Amar” Wosztyl

Najpierw białe światło, potem czarny deszcz

– Teraz ja coś wam opowiem – powiedział rudy chłopak w skórzanej kurtce. – O życiu na powierzchni. Wtedy.

– Kiedy? – zapytał któryś z obecnych.

– No wtedy, kiedy wszystko szlag trafił – odpowiedział z dumą tamten.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? – zaśmiał się jego towarzysz. – Przecież srałeś wtedy pod siebie, Miszka, prawie jak teraz.

– Zamknij się, idioto! Może ty wiesz lepiej? – żachnął się Michaił.

– A i owszem – odparł z uśmiechem. – Mam znajomego, który słyszał kiedyś…

– Gówno wiecie, panowie – wtrącił się mężczyzna siedzący nieco w cieniu na wojskowym plecaku. – Cała ta wasza wiedza o tamtych dniach pochodzi z podkolorowanych plotek, które straganiarze sprzedają wam równie łatwo, jak swoje zgniłe żarcie. Młodsi z was przyszli na świat już tutaj, pod ziemią, i znacie tylko to, co opowiadają inni. Starsi zaś zapomnieli albo nie chcą pamiętać, co działo się na górze. Czy któryś z was słyszał o czarnym deszczu? Czy widzieliście tych, którzy w czasie pierwszego wybuchu byli na otwartym terenie? – Nie usłyszawszy odpowiedzi, ciągnął coraz głośniej: – Ja nie zdążyłem ich zobaczyć. Wiecie dlaczego? Bo wyparowali! Po prostu zniknęli! Nie pozostały nawet ciała… tylko cienie rozlane po asfalcie i budynkach, przy których stali. – Mówił

coraz ciszej. – Ponoć ich ślady widoczne są po dziś dzień, a w świetle księżyca, gdy padnie na nie wzrok człowieka, zaczynają się wić, jakby nadal miały nadzieję przeżyć, uciec przed żarem nadciągającej fali.

– Czy ktoś oprócz ciebie widział te cienie? – zapytał staruszek siedzący przy ognisku.

– Jeden jedyny raz wspomniał mi o nich znajomy stalker, Siergiej Pawłowicz. Widział je ponoć kilka razy w drodze do sklepów. Mówił, że to duchy miasta.

– Pawłowicz, znakomity wojak… – zadumał się stary. – Niech mu ziemia lekką będzie. Mam nadzieję, że któryś z mutantów się nim udławił. W końcu przełknąć ten jego olbrzymi skafander… – Napotykając wzrok nieznajomego, stary się zreflektował. – Opowiedz nam proszę o tym deszczu i całej reszcie, młody człowieku. Ja akurat tamtego dnia jechałem metrem i na Suchariewskiej nas wysadzili, rozumiesz. Chętnie dowiemy się, jak było, prawda, panowie?

Wokół ogniska rozległ się pomruk aprobaty, choć większość z obecnych nie otrząsnęła się jeszcze po nagłym wybuchu emocji nieznajomego i wpatrywali się w niego z obawą. Ten jednak tylko skinął głową i rzekł:

– Dobrze, opowiem wam tę historię, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim, szanowny panie…? Jak ci właściwie na imię? – zapytał starzec.

– Jestem Igor. Igor Morozow – odparł. – Proszę, abyście mi nie przerywali. Jeśli nie chcecie słuchać, odejdźcie. Czy to jasne?

Nikt nie wstał. Ktoś tylko burknął, że i tak woli ciepło ogniska. Reszta cicho potwierdziła chęć współpracy.

– W porządku – powiedział Igor.

***

Doskonale pamiętam tamten dzień. Było upalne lato i wybrałem się z rodzicami i bratem na miejską pływalnię, aby się schłodzić. Byłem wtedy w pierwszej klasie szkoły podstawowej, a właściwie pomiędzy pierwszą a drugą, i za kilka dni miałem pojechać na moje pierwsze kolonie nad Morze Czarne. Razem ze mną rodzice postanowili wysłać mojego brata Pietię, który był trzy lata starszy i miał mnie pilnować. Wtedy uznałem to za szczyt upokorzenia, ale czegóż oczekiwać od siedmiolatka, który chciał być traktowany jak dorosły… i wkrótce miał się nim stać wbrew swojej woli. Ale mniejsza o to.

Po dwugodzinnym pobycie na basenie zrobiliśmy się bardzo głodni. Rodzice stwierdzili więc, że pojedziemy do galerii i weźmiemy na wynos pizzę i zimną colę. Z perspektywy czasu widzę, że to właśnie chęć zjedzenia śmieciowego żarcia prawdopodobnie uratowała mi życie. Zatrzymaliśmy się na podziemnym parkingu, który jednakże nie był w pełni kryty, przez co widać było ludzi chodzących po ulicy. Rodzice poszli na górę po jedzenie i doładowanie do telefonu. Mimo naszych sprzeciwów kazali nam zostać w samochodzie. Słuchaliśmy radia i obserwowaliśmy dzieciaki jeżdżące na deskorolkach na górze, tuż przy parkingu.

Nic nie zapowiadało końca świata.

Przy trzeciej piosence rozległy się syreny alarmowe. Spojrzeliśmy na siebie z bratem, lecz obserwując niedoszłych deskorolkarzy, doszliśmy do wniosku, że to tylko kolejne ćwiczenia, tak jak ostatnio w szkole. Gorzej zrobiło się, gdy po słowach piosenki Belindy Carlisle „We’ll make heaven a place on Earth” w eterze nastała zupełna cisza. Nie był to znajomy szum, który słychać, jak się zgubi stację. Zdawało się, że ktoś po prostu nagle wyłączył radio. Zanim zdążyliśmy odpiąć pasy, wszystko się zatrzęsło. Później wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Najpierw, z tego co się później dowiedziałem, zrzucali zwykłe bomby, które brzmiały niczym niekończące się grzmoty podczas olbrzymiej burzy. Później było znacznie gorzej. Dzieciaki, które chwilę wcześniej robiły triki na murku, patrzyły gdzieś w dal, w kierunku, od którego odgradzała nas ściana galerii. Nie wiem, czemu nie uciekały. Może nie wiedziały, co robić, lub zafascynował je widok. Jedno jest pewne: jest to ostatnia rzecz, którą widziały przed śmiercią. Błysk, jaki wdarł się do ciemnego podziemnego parkingu, był na tyle mocny, że zupełnie oślepliśmy. Późniejsze wydarzenia już tylko czuliśmy i słyszeliśmy. Kilka sekund po utracie wzroku niesamowita siła cisnęła naszym samochodem o ścianę, po czym na dodatek coś wielkiego opadło na blaszaną pułapkę, w której zostaliśmy uwięzieni. Wtedy straciłem przytomność.

Ocucił mnie Pietia. Pomógł mi wyjść z tego, co jeszcze rano było nowiutkim, ledwie dwuletnim autem. Teraz poskręcany wrak leżał do góry kołami, przygnieciony zwałami betonu i prętów. Wzrok powoli mi się wyostrzał, choć widziałem wszystko jak przez mgłę. Część galerii, pod którą byliśmy, została prawie całkowicie zniszczona. Górny poziom fala uderzeniowa odrzuciła aż na sąsiednią ulicę, dzięki czemu widziałem niebo. Ciemniejące niebo. Ze ściany, przy której wylądował samochód, powyłaziły rury, z których wydobywała się para wodna i śmierdziało gazem. Było strasznie gorąco. Koszulkę miałem mokrą od potu, który zalewał mi też oczy. Ale moje oczy były chociaż w komplecie. Pieti zostało tylko jedno. Drugie zawisło na wysokości kości policzkowej i groteskowo dyndało. Poza tym był chyba cały. Ja natomiast połamałem sobie nadgarstek, który wygiął się w nienaturalny sposób. Jednak pasy najwyraźniej się przydały. Dlaczego cała galeria nie spadła na nas, nie potrafię wytłumaczyć. Rodziców nie było sensu szukać, obaj podświadomie wiedzieliśmy, że zginęli, ale żaden z nas nie chciał tego głośno powiedzieć.

Leżałem jeszcze chwilę na ziemi, spoglądając to na Pietię, to na niebo, które z każdą chwilą ciemniało coraz bardziej.

– Która jest godzina? – zapytałem brata.

– Dwadzieścia po drugiej… Chyba wariuję. Ale zegarek przecież działa – odpowiedział Pietia. – Musimy się zbierać, i to jak najszybciej. No już, wstawaj, musimy dojść do metra, tak jak nas uczono w szkole, pamiętasz?

Skinąłem głową i wyciągnąłem zdrową rękę do brata. Ten chwycił za nią i dźwignął mnie w górę.

– Tu niedaleko powinno być wejście na stację, nie mamy wiele czasu – dodał Pietia i pociągnął mnie w stronę ulicy.

Wyjść z podziemnego parkingu było łatwo, ponieważ zwalony gruz stworzył swego rodzaju schodki prowadzące prosto na ulicę, gdzie jeszcze niedawno bawiły się dzieciaki. Bałem się zobaczyć ich zmiażdżone lub rozerwane ciała, ale żadnych ciał nie było. W miejscu, gdzie zastał ich błysk, pozostały cztery ciemne plamy na asfalcie. Nie była to krew, o nie!, żadnych płynów. Były to po prostu czarne ludzkie sylwetki. Jak gdyby nadal stali w tym samym miejscu i ich ciała rzucały na ziemię cienie. Lecz nikogo tam nie było.

Zatrzymałem się przerażony tym dziwnym widokiem, lecz Pietia potrząsnął mną i krzyknął:

– Młody, ruchy!

Zaczęliśmy biec. Brat znał okolicę i dobrze wiedział, gdzie się udać. Z budynków co jakiś czas wychodzili inni ludzie i biegli w tym samym co my kierunku. Część z nich była tak poparzona, że wyglądali niczym zombie z seriali telewizyjnych, których zabraniali mi oglądać rodzice. Tacy zazwyczaj padali po kilku krokach. Niektórzy zatrzymywali się przy nich. Nie żeby im pomóc, lecz aby ich okraść. Brali wszystko, portfele, kurtki, buty…

Co jakiś czas gdzieś daleko rozbłyskało niebo. Zgodnie ze wskazówkami brata zatrzymywaliśmy się wówczas, kładliśmy na ziemi, zatykaliśmy nosy, otwieraliśmy usta i czekaliśmy, aż ziemia przestanie się trząść. Dobrze, że oślepiające światło zawsze dochodziło zza pleców, dzięki czemu nie straciliśmy wzroku. Raz na kilka uderzeń walił się któryś z pobliskich budynków, dlatego biegliśmy środkiem ulicy – o ile było to możliwe, gdyż w niektórych miejscach widniały sporej wielkości leje.

Droga do wejścia na stację zajęła nam około dziesięć minut. W miarę jak zbliżaliśmy się do celu, robiło się coraz głośniej. Słychać było nieustające dudnienie, krzyki mężczyzn i zawodzenie kobiet. Obok nas płakało malutkie dziecko, które niosła jakaś staruszka. Przy wejściu do metra zebrała się blisko setka ludzi.

– Co się dzieje, do jasnej cholery? – zawołał mężczyzna w poszarpanym garniturze.

– Zamknęli się, skurwysyny! Nie wpuszczają nikogo! – krzyknął ze złością ktoś z przodu.

Stanęliśmy jak wryci. Zapadła już prawie całkowita ciemność, a po niebie sunęły gęste, stalowoszare chmury.

– Chodź Igor, staniemy z boku, tam przy kamienicy, wygląda solidnie. I pilnuj swoich rzeczy! – dodał mój brat.

Gdy byliśmy już blisko ściany budynku, zaczęło się rozjaśniać, stopniowo robiło się coraz widniej, jak gdyby nastawał przyspieszony poranek.

Wtedy ujrzałem je znowu. Cienie. Były ich setki na chodniku przy kamienicy, a także na jej ścianie. Sylwetki ludzi – długie, krótkie, biegnące, kucające… Im było jaśniej, tym więcej ich widziałem. Wtedy pomyślałem, że to duchy, i mocno zacisnąłem powieki. Pomimo zamkniętych oczu światło boleśnie mnie kłuło. I nagle zgasło, jakby ktoś wyłączył lampkę świecącą mi prosto w twarz. Otworzyłem oczy i ujrzałem jedynie fruwające

przed nimi białe plamki. Coś pchnęło mnie mocno na ziemię i choć próbowałem, to za nic nie mogłem się podnieść.

– Pietia! Pietia! – zacząłem wołać, lecz on nie odpowiadał.

Podczołgałem się do miejsca, gdzie przed chwilą stał mój brat. Zdołałem wymacać jego but. Brat leżał nieruchomo na ziemi, więc przesunąłem się bliżej jego głowy. Białe kropki powoli zaczęły znikać, więc zdołałem spojrzeć mu w twarz. Wpatrywał się swoim jedynym okiem w niebo. Zacząłem nim potrząsać, drzeć się na niego, lecz gdy tylko jego głowa przechyliła się odrobinę w lewo, ujrzałem jego włosy, całe zlepione krwią.

Nie miałem już siły na nic. Chwyciłem go za rękę, opadłem na plecy i zamknąłem oczy. Ból w nadgarstku się nasilił, lecz mimo to tak bardzo chciało mi się spać.

Wtem coś kapnęło na moje czoło. Nim zdążyłem pomyśleć, na moje ciało spadły kolejne krople. Były bardzo ciepłe i miały dziwny, metaliczny smak.

– Igor? To ty? Gdzie rodzice? – spytał ktoś koło mnie.

Otworzyłem oczy i ujrzałem naszego sąsiada, dobrego kolegę ojca. Nie byłem w stanie nic odpowiedzieć.

– Chodź, musimy znaleźć inna stację, ta jest już zamknięta – powiedział sąsiad.

– Pietia… – wyszeptałem.

– On nie żyje, puść go i chodź ze mną – upierał się tamten.

Spojrzałem po raz ostatni na brata i zauważyłem, że rozwalił głowę o wystającą płytę chodnikową. I mogę przysiąc, że uśmiechał się do mnie. Jego twarz robiła się coraz bardziej mokra i… czarna. Wszystko robiło się czarne. Ludzie przy zamkniętym wejściu zaczęli gromadzić się przy kałuży i, krztusząc się, pili ciemną ciecz spadającą z nieba. Była naprawdę bardzo ciepła, niczym domowy prysznic.

– Nie pij tego, mały, zamknij usta – powiedział do mnie sąsiad. – W ogóle to najlepiej zamknij oczy.

Tak też zrobiłem. Kolega mojego ojca niósł mnie w kierunku przeciwnym do rosnącego tłumu ludzi, a ja w pewnej chwili zasnąłem, ukojony przyjemnym ciepłem.

Obudziłem się w pomieszczeniu z zamkniętymi drzwiami, bez okien. Połamany nadgarstek miałem unieruchomiony i dokładnie zabandażowany. Na łóżku, na którym leżałem, siedział człowiek, który mnie uratował.

– Już w porządku, Igor, bądź grzeczny i czekaj na mnie. Będę wieczorem – to rzekłszy wyszedł, a zamiast niego pojawiła się ubrana na biało kobieta.

– Gdzie ja jestem? – zapytałem.

– W metrze, moje dziecko, o nic się nie martw, jesteś bezpieczny – odpowiedziała. – Teraz musisz dużo spać.

Dała mi jakieś gorzkie tabletki, po czym zasnąłem.

Śniły mi się tylko dwie rzeczy. Najpierw białe światło, potem czarny deszcz.

***

– To chyba tyle. Tak to było, dzieciaki – skończył Igor. – Jakieś pytania?

– Co z kumplem twojego ojca? – zapytał młodzieniaszek, który przez większość czasu siedział z rozdziawioną paszczęką.

– Nigdy go już nie spotkałem, a sanitariuszka nie chciała nic powiedzieć; po tygodniu zmarła.

– A co z tymi, których nie wpuścili na pierwszej stacji? – dopytywał młody.

– Większość zginęła tam, na górze, a część, jak my, poszła gdzieś, gdzie ich wpuścili – odrzekł Igor. Ci, którzy pili czarny deszcz, poumierali

w męczarniach w ciągu kilku dni. Jakieś wrzody, wymioty, dusili się własnymi wnętrznościami. Sam przez miesiąc leżałem na prowizorycznym oddziale, osłabiony, z bolącym brzuchem. Do tego całkowicie wyłysiałem, mimo że napiłem się tylko kilku kropel.

– A te cienie? – zapytał staruszek, ten sam, który na początku namówił Igora do opowiedzenia tej historii. – Widziałeś je jeszcze kiedyś?

– Nie, nigdy już nie byłem na powierzchni – odparł Igor. – Boję się ich, mimo że to tylko pozostałość po impulsie świetlnym powstałym przy wybuchu jądrowym. Tak powiedział mi znajomy profesor z Polis. Jednak ja nadal myślę, że coś z nimi jest nie tak. Były takie dziwne. I te opowieści Siergieja…

– Twoi rodzice przeżyli? – spytał dziadek.

– Z tego co wiem, nie przeżył żaden członek mojej rodziny – odpowiedział Igor. – Przygarnęła mnie rodzina z Ryżskiej, z którą mieszkałem bardzo długo.

– Dajcie mu już spokój, chłopcy – wtrącił się ktoś inny. – Czy słyszeliście o…

Mateusz „Hermetyczny” Gembarski

Czasem trzeba coś poświęcić

Na stację powoli wszedł kilkunastoletni chłopak. Wyglądał na przygnębionego. Szedł przed siebie, nie zwracając na nic uwagi. Zatrzymał się przy ścianie i oparł o nią. Stał tak przez chwilę i myślał o tym, co zaszło. Jak to wszystko niefortunnie się potoczyło. Nagle ktoś do niego podszedł.

– Co tak sam stoisz? – odezwał się obcy mężczyzna. – Chodź z nami do ogniska. Posłuchasz sobie ciekawych opowiadań. Śmiało.

Młodzieniec podniósł wzrok. Ognisko. Opowiadania. W końcu odszedł od ściany i razem z mężczyzną podążył w stronę zgromadzonych przy ogniu postaci. Jednak nie usiadł, by posłuchać kolejnej historyjki. Stanął na środku, zwracając na siebie uwagę zebranych.

– Może ja coś opowiem? – zapytał. – Akurat mam coś w sam raz. Nie będę się bawił w wymyślanie bajeczek, opowiem wam o czymś, co się wydarzyło naprawdę, i to dzisiaj. Chcecie posłuchać?

Kilku mężczyzn pokiwało głowami, ktoś krzyknął: „Dawaj!”. Chłopak zebrał myśli. Nie chciał zgubić żadnego szczegółu swojej historii, nie chciał też niczego koloryzować. W końcu zaczął:

– Opowiem wam, co się niedawno działo w więzieniu faszystów na Twerskiej. Zamknięci w pięciu celach skazańcy czekali w napięciu. Za chwilę miała się zacząć ich mała „akcja”…

***

Gdyby nie uderzenia butów strażnika o ziemię, pewnie zwariowałby w tej ciemnej celi. To jedyny dźwięk, który w tym momencie docierał do jego uszu. „Dobrze, że jest tylko jeden” – pomyślał. Gdy pojawiał się drugi strażnik, obaj wpadali w dobry nastrój i zaczynali dręczyć więźniów. Ale tym razem drugiego nie było. Widocznie miał coś do załatwienia. Igor oparł głowę o ścianę. W ciemności widział niewyraźne kontury sylwetki Siergieja. Nie mógł tego dostrzec w panującej ciemności, ale wyczuwał jego podekscytowanie. Uśmiechnął się. Dziś opuszczą tę celę. Od paru tygodni, poza wspólnymi rozmowami, pamiętali jedynie tortury faszystów. A przecież obaj mieli zaledwie po szesnaście lat!

„Jak ja tu trafiłem?” – zastanawiał się chłopak. To wszystko przez ojca. No, tak można by to ująć… Ojciec Igora miał specyficzny nawyk: używał wielu archaizmów i składał zdania w trudny do zrozumienia sposób. Faszystowski oficer miał natomiast inną cechę: był głupi. Tak więc mężczyźni się nie dogadali. Oficer nie zrozumiał ani słowa z kwiecistej wypowiedzi taty Igora. Wystarczyło mu to, by wsadzić ojca do więzienia za obrażanie ważnego funkcjonariusza stacji i ogólnie za knucie przeciw Rzeszy. Przy okazji do celi trafił również jego syn, przez samo pokrewieństwo z winowajcą. Chłopcu wydawało się to żartem. Na początku. Potem, gdy ojciec zawisł ku uciesze tłumu, zrozumiał, że to wszystko jest jak najbardziej na poważnie.

Nastolatek spojrzał przez kraty na strażnika. „Ale ja na pewno nie zawisnę” – przeszło mu przez myśl. Wkrótce skończy się ten koszmar. Wszystko już było zaplanowane, wszystko gotowe. Zaraz się zacznie.

To był właśnie ten idealny moment. Według informacji jednego z więźniów, który podsłuchał faszystów, władze miały mieć jakieś spotkanie. Nie wiadomo do końca, w jakim celu, ale ważne było to, że nie będzie ich na Twerskiej. A ponieważ są tak niesamowicie ważni, wezmą ze

sobą większość strażników ze wszystkich faszystowskich stacji. Zgromadzi się tam także duża część cywili. A co to oznaczało dla więźniów? Że Twerska będzie niemalże pusta. Idealna okazja, by zwiać z tego wariatkowa. Oczywiście najpierw trzeba było odwrócić uwagę strażnika. Ale to nie będzie takie trudne, w końcu trzymali ich tu dziewięciu, zamkniętych w pięciu celach. Tym miał się akurat zająć jeden z więźniów, oskarżony o zabicie żołnierza Rzeszy.

– Dobra, przyznaję się! Zabiłem go! – ryknął jak na zawołanie więzień z piątej celi. Strażnik łatwo dał się zwabić, podbiegł do więźnia, wyciągnął go zza krat i poprowadził do naczelnika więzienia. Igor nasłuchiwał, jak odgłosy kroków milkną, oddalając się od cel. Jeszcze trochę i się zacznie.

Chyba już… Trzeba było działać szybko. Siergiej wyciągnął zestaw wytrychów, które dał mu kiedyś pewien nieodżałowanej pamięci chłopaczek, goszczący w ich celi. Udało mu się przemycić te narzędzia, ale zaraz potem skończył na stryczku. No cóż, bywa. Ważne, że oddał wytrychy i nauczył posługiwania się nimi. Dzięki temu cała akcja w ogóle miała szanse powodzenia.

Siergiej zbliżył się do zamka i zaczął w nim grzebać. Powtarzał sobie po cichu słowa tamtego chłopaka. Coś mu wyraźnie nie szło. Igor podszedł i zaczął uważnie obserwować jego poczynania.

– Nie, nie, robisz to źle – mruknął i odebrał towarzyszowi narzędzia. Sam zabrał się do pracy. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że to nie takie łatwe, jak się wydaje. Przypomniał sobie ostrzeżenia, by robić to naprawdę powoli, bez gwałtownych ruchów, inaczej wytrychy mogą się złamać.

– Masz głupią minę – skomentował jego pracę Siergiej, szczerząc zęby. – No, pokażesz mi wreszcie, jak to się robi?

– Ja też bym chętnie, kurna, zobaczył. Może by tak szybciej? – Denerwował się więzień z sąsiedniego pomieszczenia.

– Jak takiś mądry, to może sam to zrobisz, hę? – odburknął Igor.

W końcu zamek szczęknął, a drzwi powoli się otworzyły. Nareszcie! Chłopcy opuścili swoją celę. Byli wolni! Ale nie tak prędko, trzeba było uwolnić pozostałych więźniów. Obaj szybko skierowali się w stronę następnych drzwi. Tym razem otworzyli zamek już znacznie szybciej. Mimo to minęło trochę czasu, na tyle dużo, że zdążył pojawić się strażnik.

– A co tu się, do cholery, dzieje?! – spytał ze zdumieniem faszysta. Dwaj oswobodzeni przez chłopców mężczyźni w mgnieniu oka znaleźli się obok żołnierza. Facet nawet nie zdążył zareagować. Dostał pięścią i padł na ziemię nieprzytomny. Szybko go przeszukali. Oprócz noża, pistoletu TT i granatu znaleźli również klucze. Igor odetchnął. Nie będzie trzeba zajmować się wszystkimi zamkami. Siergiej szybko uwolnił pozostałych. Człowiek, który zwinął nóż, dobił leżącego faszystę.

– Prezent dla Rzeszy za nasze uwięzienie i ciągłe tortury. – Reszta więźniów przytaknęła. Drugi mężczyzna mierzył z pistoletu w drzwi wyjściowe, osłaniając swoich towarzyszy. Reszta zgromadziła się w centrum korytarza.

– No dobra – zabrał głos Wiktor, jeden ze skazanych i pomysłodawca całej operacji. – Teraz trzeba się stąd zwijać, co nie? Pamiętacie plan? Najpierw musimy wyswobodzić Aleksa, pewnie już siedzi u naczelnika więzienia. Oby tylko nie było Kata… Potem to już tylko wystarczy dostać się do Łubianki. Tak będzie najbezpieczniej. Wiem, że to stacja czerwonych, ale mam takie coś… – Wyciągnął z buta sprytnie schowany dokumencik. Był kilkakrotnie złożony. Nie dziwne, że faszyści go przegapili podczas przeszukiwania. – Fajne, nie? Pozwala się przedostać przez każdą stację komuchów. A jak ja to mam, to wy automatycznie możecie iść ze mną. – Wszyscy uśmiechnęli się z zadowoleniem. – A potem prosto do Kitaj-Gorodu. Osłania nas Iwan, bo ma TT-tkę. Może być?

– Pewnie – odpowiedział Igor. Reszta zgodnie pokiwała głowami.

Tak było najprościej i najwygodniej. Wszyscy ruszyli w stronę wyjścia. Iwan przodem, wymachując swoim pistoletem. Zaraz za nim drugi więzień, uzbrojony w nóż. Później Igor z Siergiejem, a po nich reszta. Szli w milczeniu. Jeśli gdzieś w pobliżu znajdował się chociaż jeden strażnik, lepiej nie zwracać jego uwagi. Może i było ich wielu, ale mieli tylko jeden pistolet.

Zasłonili oczy. Mimo że oświetlenie stacji było raczej liche, to jednak mocno raziło ich nienawykły wzrok. Nic dziwnego po tak długim czasie spędzonym w więzieniu. Postali przez chwilę, a gdy ich oczy przyzwyczaiły się do światła, ruszyli dalej.

– Wiesz, Igor, dziękuję – odezwał się niespodziewanie Siergiej. – Gdyby nie ty, dalej byśmy tam gnili. Wreszcie uciekliśmy!

Wszyscy więźniowie przytaknęli. Igor uśmiechnął się. Czuł się jakoś tak… dobrze. Był szczęśliwy. Po tygodniach siedzenia w celi mógł stąd odejść. Jednak miał wrażenie, że zapomniał o czymś ważnym.

Bez problemu wypatrzyli pokoik, w którym przesiadywał naczelnik więzienia. Wszystkim mocno wrył się w pamięć. To właśnie tam odbywały się tortury. Były to właściwie dwa pomieszczenia, do których wchodziło się jednymi drzwiami. W jednym stał stół, na którym zadawano ból, w drugim spała „bestia”. Jednak to nie naczelnik budził taki strach. Więźniowie bali się raczej Kata. Niesamowicie umięśnionego człowieka z dziwnym, zniekształconym głosem. Zawsze okrytego długim płaszczem z kapturem. Niektórzy nawet twierdzą, że jest mutantem. Czy to prawda? To wie tylko sam Kat.

Byli już przy drzwiach. Wiktor podszedł i złapał za klamkę, Iwan stanął naprzeciw wejścia, reszta pochowała się dookoła. Plan był taki, że jeden

otworzy drzwi, drugi zacznie strzelać, a potem wszyscy wpadną do środka. Banał. Wiktor zaczął odliczanie. Raz… dwa… trzy…

Nagle drzwi otworzyły się z wielkim hukiem, potem padł strzał. Ciało Iwana osunęło się bezwładnie na ziemię. Wszyscy patrzyli ze zdumieniem. Z sali powolnym krokiem wyszło trzech faszystowskich żołnierzy z AK-47. Więźniowie rzucili się do ucieczki.

Igor biegł przed siebie. Wiedział, że Siergiej biegnie tuż za nim, słyszał stukot jego butów, co jakiś czas zagłuszany przez strzały z kałachów, trafiające kolejnych więźniów. Schowali się za jednym z większych namiotów. Oddychali głęboko. Co teraz, co teraz?

– Ktoś nas wydał – szepnął przerażony Siergiej. – Wiedzieli, że przyjdziemy. Czekali na nas.

Igor poczuł się dziwnie. O czymś zapomniał. Wiedział, że o czymś zapomniał, tylko o czym? O co mogło chodzić? Usłyszał kroki. Faszyści szli w ich stronę. Chłopcy usłyszeli huk wystrzału. Zakrwawione ciało Wiktora siłą odrzutu znalazło się metr od nich. Nastała dziwna cisza…

– Igor! – krzyknął niespodziewanie jeden z żołnierzy. – Przestań się chować! Już po wszystkim. Cała ta banda nie żyje. Jesteś wolny. Chodź.

Chłopak poczuł, jak robi mu się niedobrze. Chwilowa amnezja ustąpiła i przypomniał sobie. Torturowali go… nie mógł wytrzymać… zdradził ich… powiedział im wszystko… to on wydał, to wszystko przez niego.

Spojrzał Siergiejowi w twarz. Widział łzy w jego oczach.

– A ja ci ufałem! Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi! Jak mogłeś to zrobić?!

Słowa przeszywały ciało Igora niczym nóż. Czuł się podle. Co on zrobił? Jak mógł dać się złamać? Pomóc zabójcom ojca? Wydać wyrok na swojego przyjaciela? „Pamiętaj, że wszystko da się naprawić. Jednak czasem trzeba coś poświęcić” – usłyszał w głowie słowa swojego ojca. Wyjrzał zza

namiotu. Przy ciele Wiktora błysnął jakiś przedmiot. „Czasem trzeba coś poświęcić”. Zdeterminowany spojrzał Siergiejowi w oczy. Wyszedł zza osłony i ruszył w stronę faszystów. Po drodze schylił się po upatrzony wcześniej przedmiot. Żołnierze przyzywali go do siebie gestem dłoni. „Coś poświęcić”. Rzucił coś faszystom pod nogi. W tym samym momencie karabiny zwróciły się w jego stronę. Ujrzał szydercze uśmieszki na twarzach żołnierzy, gdy otworzyli ogień. Padając przeszyty pociskami, odwrócił twarz w stronę Siergieja i krzyknął:

– Wybacz!

Jego ciało rozerwały serie z trzech karabinów, jednak błyszczący przedmiot dotarł do żołnierzy. Było za późno, gdy jeden z nich krzyknął z przerażeniem „GRANAT!”. Nastąpił wybuch. Eksplozja wstrząsnęła stacją, a dziesiątki odłamków rozerwały uciekających faszystów.

Siergiej wstał. Nie wiedział, jak długo leżał. Zresztą nie to było teraz istotne. Podszedł do ciała swojego przyjaciela. Nie wierzył, że to zrobił. Nie wierzył ani w to, że ich zdradził, ani w to, że się poświęcił. Chłopak pomodlił się, choć nie był wierzący i nigdy wcześniej nie przyszłoby mu to do głowy. Teraz jednak potrzebował Boga. Ściągnął z szyi Igora łańcuszek. Nawet nie wiedział, że chłopak go nosił. Poczuł łzę spływającą po policzku. „Weź się w garść!” – pomyślał. Usłyszawszy kroki, wstał i cofnął się. Szybko podszedł jeszcze do ciała Wiktora i zabrał dokument, który pozwalał poruszać się po stacjach Linii Czerwonej. Był nieco zakrwawiony, ale to nic. Gdy schował się za namiotem, kroki ucichły. Słyszał dziwne powarkiwanie. Wyjrzał i dostrzegł, że nad ciałem Igora stał Kat. Siergiej poczuł przerażenie. Widział, jak mężczyzna węszył dokoła, po czym jego głowa zwróciła się w stronę chłopaka. Siergiej okrążył namiot i zaczął biec ile sił w nogach, a Kat ruszył za nim. Po chwili Siergiej dotarł do tunelu prowadzącego na Łubiankę. Nie miał siły. Stanął ciężko dysząc. Odwrócił

się ze strachem. Pusto. Nikogo nie było. Chłopak nie miał pewności, czy Kat rzeczywiście za nim biegł, czy to tylko wyobraźnia go zwodziła. Tak czy inaczej był już wolny. Mógł spokojnie iść dalej. Złapał za łańcuszek i ruszył w tunel, pogrążając się w ciemności. Światło stacji zdążyło jeszcze oświetlić płynącą po policzku łzę.

***

Nie płakał. Widział na twarzach słuchaczy zdziwienie i smutek.

– Dalsza droga była prosta. Wystarczyło wejść na stację Czerwonych. A potem tu. – Chłopak dotknął szyi i ściągnął łańcuszek. Spojrzał na niego. – Patrzcie: zdrajca… i bohater… – Zacisnął dłonie w pięść, przymierzył się i rzucił wisiorkiem na drugi koniec stacji. – Szkoda, że tak późno się ogarnął.

Odwrócił się i odszedł od grupy. Jego sylwetka stopniowo wtapiała się w mrok tunelu. Po chwili całkiem zniknął.

Rafał „Rafen” Górniak

Nie wierzę w Boga

– Nie wierzę w Boga – oświadczył Przybysz, obrzucając niechętnym wzrokiem gromadę zziębniętych ludzi, usiłujących wykrzesać resztkę ciepła z niemrawego, dogasającego płomienia ogniska. – Nie po tym, co zobaczyłem.

Stalker wzruszył ramionami i kontynuował rozlewanie herbaty do wyszczerbionych cynowych kubków. Podał jeden z nich Przybyszowi, mimo że uwaga tego ostatniego wyraźnie skupiona była na fakcie, iż spod bluzy stalkera wysunął się mały srebrny krzyżyk, zawieszony na cienkim łańcuszku, i zadyndał na szyi, tym samym rzucając się w oczy obserwatora.

– Co takiego niby widziałeś? – spytał. – Tutaj każdy widział już wszystko, a jednak większość z nas nie porzuciła wiary.

Przybysz westchnął ciężko, podkurczył nogi i bez słowa popijał gorący wywar, nie przejmując się, że herbata parzy w usta. Najwyraźniej był to dla niego pierwszy kubek ciepłego napoju od wielu dni.

– A jednak mam wrażenie, że ja widziałem więcej niż wy – wyszeptał po chwili. – Słyszeliście o Łodzi? O samozagładzie i wielkiej pustce umysłu?

– Łódź? – rzucił ktoś z powątpiewaniem. – Tam nikt nie mógł ocaleć. W Łodzi nigdy nie było metra.

Przybysz uśmiechnął się blado.

– Do 2013 w Łodzi rzeczywiście nie powstało metro. A potem nie było już potrzebne. – Na jego twarzy zagościł ironiczny grymas. – Zbudowano tam jednak tunele średnicowe, którymi przemieszczały się pod ziemią

zarówno pociągi dalekobieżne, jak i kolej miejska. Czyli w sumie mieli pseudo-, albo quasi-metro, takie pół metra metra. Do nich właśnie uciekaliśmy, kiedy… – Przybysz przerwał i pociągnął łyk herbaty. – Macie jednak rację. Nikt tam nie ocalał. Nikt, kogo można by nazwać człowiekiem. Mój przyjaciel Janek… – Słowa uwięzły mu w gardle. Milczał i wszyscy milczeli wraz z nim, aż do chwili, gdy stalker położył dłoń na jego ramieniu i wyszeptał:

– Powiedz nam. O Janku, o wielkiej pustce. O wszystkim.

I potoczyła się opowieść.

***

– Nie wierzę w Boga, jednego ani wielu. Nie istnieje coś, czego nie ma. Nie ma niczego, co nie istnieje. My jesteśmy, jest ciemność i światło, jest śmierć. Jest i życie, słabe, ułomne, wątłe. Ale jest. Jest bez Boga, samo dla siebie. Życie nie wszechmocne, życie nie wieczne, lecz trwałe. Nasze życie.

Janek szeptał wraz z innymi, wkładając w tę antymodlitwę całą swoją determinację, cały zapał, jaki tylko udało mu się wykrzesać. Tak jak inni, starsi od niego, powtarzał słowa Trzeciego Zaklęcia Rozumu z nadzieją, że jego wspólnota wyprze w końcu bałwochwalców z posterunku pod Manufakturą, o co Racjonaliści zabiegali nieustannie od poprzedniego ciemnego lipca, czyli już od ponad półtora roku.

To wówczas największy zdrajca w historii ruchu, Wizerski, Jan Wizerski – jego imiennik, niech pamięć jego będzie przeklęta – wraz z pięcioma towarzyszami z oddziału zaintonował „Boże coś Polskę” podczas pełnionej przez siebie warty, przekazując w ten sposób papistom umówiony znak. Trzech niewtajemniczonych posterunkowych ze zdziwieniem i przerażeniem spoglądało na kolegów, którzy dopuścili się rzeczy strasznej i niepojętej – bez ostrzeżenia przeszli na DRUGĄ

STRONĘ. Nie ulegało jednak wątpliwości, że grunt pod zdradę był starannie przygotowany, a samo przejście do chrześcijan i oddanie Manufaktury zostało wcześniej ze szczegółami dogadane. Zbyt szybko bowiem papiści wychynęli z brudnoszarej mgły i w kilkunastu długich susach dopadli do barykady, aby wesprzeć sześciu zdrajców w walce przeciwko trzem lojalistom. Głuche uderzenia tępych końców radlaków, wobec znacznej przewagi liczebnej napastników, bardzo szybko obezwładniły wiernych obrońców reduty i trzech chłopaków z okrzykami bólu umknęło w stronę rewiru Piotrkowska, znajdując schronienie dopiero na posterunku pod ulicą Legionów.

Na wspomnienie tej hańby Janek bezsilnie zacisnął pięści, a jego szept zamienił się w wygłaszaną coraz donośniej deklamację, pełną niechętnie tłumionej pasji.

– Nie wpuszczę za mój próg zabobonu. Nie ugnę karku przed absurdem i oszustwem, nie będę bił czołem przed bałwanami. Nie zawieszę na ścianie znaku – symbolu zniewolenia, pogardy i kłamstwa. Nie poddam się. Umysł kapituluje ostatni.

Dlaczego ONI wierzą? Jak mogą sądzić, że wszechobecną śmierć przezwycięży za nich ktoś albo coś, jakaś enigmatyczna siła, bóg czy diabeł, jak zwał tak zwał. Janek wiedział, że tak jak poza ścianą tunelu nie ma nic – nawet jeśli kiedyś było – tak poza potęgą własnego rozumu, ostatnią barierą, która chroni przed upadkiem, zezwierzęceniem, śmiercią, nic nie istnieje, albo raczej istnieje NIC, nicość, pustka. „Nawet jeśli kiedyś coś istniało”, pomyślał i przestraszył się własnej refleksji. Ależ nie! Poza rozumem i fizycznością nic nie ma i nigdy nie było. To pewnik. Oczywistość. Kropka.

Sześćset trzydzieści dwie osoby. Czterystu siedemdziesięciu sześciu mężczyzn, sto dwanaście kobiet i czterdzieścioro czworo dzieci. Dokładnie

tyle osób znalazło się w tunelach po Zagładzie. O całej reszcie ludzkości nic nie było wiadomo. Ci, którzy pozostali na górze, wczepieni w pozostałości umarłego świata – resztki zburzonych kamienic, zapory z murków, rozpadliny – w ciągu tych kilkunastu lat z pewnością zginęli strawieni przez promieniowanie lub rozpierzchli się po przedmieściach w oczekiwaniu na śmierć. Zagłada, nieistnienie, kres wszystkiego. Jak można w tych warunkach snuć mrzonki o Bogu, pięknie i dobru, które On rzekomo reprezentuje? A jednak znaleźli się tacy, którzy uzasadnień dla dalszego istnienia poszukiwali w Jego łasce. Żałosne pozbawione inicjatywy kreatury, bezwolni fataliści idący na duchową łatwiznę i podpierający się protezą wiary. Janek nie mógł znieść myśli, że aż tylu współtowarzyszy niedoli dało się porwać argumentacji tak zwanych Ojców – dwóch księży, którzy przeżyli katastrofę. Kierownictwo starało się ukryć skalę poparcia dla papistowskiej reakcji, ale społeczność w tunelach była zbyt mała, by dało się zataić prawdę. W dniu Schizmy doszło do wielkiego rozejścia się jedynych ocalałych ludzi w całej Łodzi i − jak wtedy myślano – na całej Ziemi. Z klechami odeszło prawie czterystu, w tym znacząca większość kobiet i niemal wszystkie dzieci, które podążyły za swoimi matkami. Janek był jednym z nielicznych młodocianych, którzy pozostali przy linii Kierownictwa. Zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej został dlatego, że jego matki nie było w tunelach – zginęła na powierzchni – a ojciec ochoczo poparł sprawę Nihilistów, jak nazywali ich tamci, bądź Racjonalistów, jak zwykli nazywać się sami.

Janek westchnął i zaczął uważnie przyglądać się obecnym. Brakowało Gielniaka, któremu pękł wrzód i dogorywał w schronisku, mając szczęście, że doczeka naturalnej śmierci, oraz jego córki, cierpliwie oczekującej przy sienniku na odejście ojca. Poza nimi tego dnia wszyscy. Stu osiemnastu ludzi. Liczenie, jak co dzień, odbyło się z rana. Uzyskaną liczbę sekretarz

podał do wiadomości, wykrzykując ją po kilkakroć przez dłonie złożone w trąbkę: „Osiemdziesięciu jeden mężczyzn, trzydzieści siedem kobiet! W tej liczbie jedenaście osób poniżej osiemnastego roku życia! Sześć dziewcząt, pięciu chłopców! Liczenie wieczorne nie odbędzie się!”. Słuchacze niespokojnie szeptali i oglądali się na siebie. Liczby nie były zaskoczeniem, ludzi było dokładnie tylu, co poprzedniego dnia wieczorem, dopiero spodziewana śmierć Gielniaka mogła to zmienić. Dlaczego jednak miałoby nie być wieczornego liczenia? Coś się szykowało.

Kierownictwo już dawno zrozumiało, że to jedyny sposób. Nikt nie jadł od dwudziestu godzin. Od dnia zdrady Wizerskiego Racjonalni stracili dostęp do jedynego wyjścia na zewnątrz, pozostali z zasobami w skrzynkach, kurczącymi się w tempie przyprawiającym kwatermistrzów o zawrót głowy. Prostaczkowie wierzyli w mit stalkerów, byli przekonani, że istnieje potajemne źródło zaopatrzenia, ale Kierownictwo i sami stalkerzy wiedzieli, jak jest naprawdę. Janek też wiedział. Przed ciemnym lipcem był Przodownikiem, stalkerem o największym urobku. Przewaga liczebna wroga nie dawała nadziei na kontynuację ponurej szczurzej egzystencji w tych stalowo-ziemnych kiszkach tuneli, niewiele szerszych i suchszych od wypełnionych szczurami kanałów.

Janek pamiętał jak brygadzie, w której służył, udało się przed kilkoma laty uzyskać dostęp do Dętki, czyli zabytkowego fragmentu łódzkich kanałów. Dawna atrakcja turystyczna teraz stała się odnogą racjonalnej części ich świata. Przebili się przez nadwątloną ścianę tunelu, ponad zrujnowaną ulicą Zachodnią poprowadzili inżynieryjne obejście, wykorzystując resztki powalonych kamienic, gruz, blachę, tramwajową trakcję i betonowe okrąglaki studzienek. Utworzyli na powierzchni, ponad ulicami, mały, wąski tunel. Przerąbali się, przebili i w końcu na skraju placu Wolności zeszli do Dętki – solidnego murowanego kanału, który powstał

jeszcze z początkiem dwudziestego wieku na potrzeby miejskich wodociągów. Niegdyś w miejskim krwioobiegu płynęła tamtędy woda, obecnie jałowe i wysuszone ścieżki na dnie kanału skrywały szczurze odchody, śmieci i porzucone w pośpiechu klamoty – nic szczególnego w tej nowej, odmienionej rzeczywistości. Okazało się jednak, że niespodzianka czekała na samym końcu zawalonej podziemnej arterii. Odkryto czternaście ciał, poskręcanych i wychudłych, właściwie mumii. Wysuszone szkielety obciągnięte były pergaminową skórą, miały ostre trupie nosy, wąskie wargi obłupane jak ścinki ryżowego papieru i rozcapierzone palce. Pięcioro dorosłych i dziewięcioro dzieci. Brygadier dał komendę spocznij, szperacze posłusznie przystanęli. Dowódca oddziału osobiście zbadał szczątki – sprawa była polityczna i relacja dla Kierownictwa powinna być pozbawiona ideologicznych odchyleń. Na szyi jednej z kobiet odnalazł krzyżyk, zerwał go szybkim ruchem, dyskretnie, by uniknąć komentarzy podwładnych. Wiedział, że do publicznej wiadomości o ludziach ocalałych z pierwszego etapu Zagłady trzeba będzie podać wersję uzgodnioną na najwyższym szczeblu, dobrze byłoby nie dawać pola do domysłów, że zmarli należeli do kościelnej sitwy. Na ścianie odnaleźli wydrapane napisy – spis dat i wydarzeń po Zagładzie. Z zapisków wynikało, że początkowo przebywało w Dętce czterdzieścioro troje ludzi – trzynaście kobiet, dwanaścioro dzieci i osiemnastu mężczyzn. Przetrwali prawie dwa lata. Zapiski były lakoniczne. „Sto dwadzieścia dni PO. Jacuś i Martynia. Wynieśliśmy ich. Potem Zan, Wiarus i Sonia wyszli”. „Sto sześćdziesiąt osiem dni PO. Nora wyszła z grupą”. „Czterysta dwa dni PO. Żaneta, Marcin, Hania, Norbercik. Zjedzeni. Niedługo koniec”. Żadnych odniesień do Boga. Bardzo dobrze, będzie można opublikować w całości. Tylko ci „zjedzeni”… Nie szkodzi, to tylko trochę więcej dramatyzmu. Niech ludzie wiedzą, że byli tacy, co mieli jeszcze ciężej.

Ci w Dętce całkiem wymarli, większość zapewne wyszła na powierzchnię, w środku było bowiem zbyt mało ciał, a nawet szkieletów lub choćby kostnych resztek. Nawet gdyby ciała objedzono, coś by musiało przecież pozostać. Nie było prawie nic, a zatem wyszli, uciekli w śmierć. Odnalezione mumie były wymownym świadectwem o końcu ludzi, którymi niegdyś były. Wszystkie dzieci miały złamane kręgosłupy, po prostu skręcono im karki. Dorosłym poprzerzynano gardła, nie było widać jakichkolwiek śladów oporu. Ostatni żyjący próbował podciąć sobie żyły, ale krew chyba nie chciała płynąć, bo w końcu rozbił sobie głowę o mur, waląc w czerwoną polerowaną cegłę. To było memento dla nich wszystkich, wiedzieli, że do nich również pełznie śmierć, że jest tuż, tuż. A ludzkość? Świat był ogromny. Wtedy, PRZED. Z ponad siedmiu miliardów ludzi musiało ocaleć więcej niż ta marna garstka w łódzkim tunelu średnicowym. Musiała? Janek uśmiechnął się delikatnie. Tutaj nic nie „musiało” się stać. Równie dobrze trafna mogła być diagnoza Kierownictwa, że z całej ludzkości przetrwali tylko oni. Oni i ta rozmodlona banda po drugiej stronie barykady.

Janek zamknął oczy, napięcie mięśni wzrosło. W garści ścisnął rękojeść radlaka, nieobtoczone drewno wpijało się w skórę dłoni dyskretnymi ukłuciami mikroskopijnych drzazg. Robaki!

***

Przybysz z dalekiej Polski westchnął i popił herbaty.

– Teraz rozumiem już motywację bojowników tamtej strony, całego tego Rycerstwa Niepokalanej, czy jak się tam zwali. Każdy potrzebuje jakiejś spójni, ideologii, która zachęci go do walki o przetrwanie, odskoczni. Każdy pragnie, aby ktoś inny pomyślał za niego, podjął decyzję. My mieliśmy Kierownictwo i wiarę w potęgę rozumu. Wiarę? – zawahał się

Przybysz. – Nie, to niedobre słowo, trefne. My widzieliśmy, że Rozum leży u podstaw trwania i przetrwania. My sami kształtowaliśmy swoją rzeczywistość. A tamci? Po tym, jak jeden z „Ojców” podciął gardło drugiemu, oskarżając go o bezbożność i nadużycia seksualne, po szeregu małych schizm wynikłych z dawnych wewnątrzchrześcijańskich sporów, po licznych podziałach i apostazjach, w co jeszcze wierzyli tamci? W to, co sami chcieli? Czy w to, co powie im „Ojciec” Remigiusz, ich papież, dyktator i półbóg w jednej osobie. Ba, w co wierzyliśmy my sami? W to, w co sami chcieliśmy wierzyć, czy w to, co poda nam Kierownictwo z jego apetytem na monopol w zarządzaniu umysłem, ciałem i duszą. Tak, duszą, bo jak inaczej nazwać totalne zawierzenie przewodniej roli przywódców, pełne oddanie i bezgraniczną akceptację dla ich decyzji?

Mężczyzna pokiwał w zadumie głową. Po chwili zaczął mówić dalej.

***

– Uderzę na nich całą skoncentrowaną mocą mojej nienawiści. A nienawiść to pogarda dla ciemnoty i zacofania, pogarda dla zniewolonego umysłu. Tych, którzy oddadzą się rozumowi jako jedynej sile kształtującej rzeczywistość i zrozumieją, oszczędzę. Będę miał litość dla nich, prostaczków wiedzionych na smyczy przez kleszą klikę obrosłą w fałdy tłuszczu. Dla kliki tej jednakże zmiłowania mieć nie będę. Zadźgam ich, zarąbię, zatłukę radlakiem. Koniec, po trzykroć koniec dyktaturze! – Pierwszy mówca właśnie oznajmił, dlaczego odwołano wieczorne liczenie. Nie będzie już potrzebne. – Dziś ruszamy w ostatni bój. Dziś zniszczymy papistów, wgnieciemy ich w ziemię lub wygnamy na zewnątrz. Likwidacja katolików będzie oznaczać możliwość podporządkowania racjonalnemu rytowi wszystkich pozostałych przy życiu chrześcijan, tych schizmatyckich pariasów grzęznących w ideologicznych sporach – obwieszczał mówca.

„Dosyć tych pseudomodlitewnych inwokacji! Niepotrzebnie kopiujemy wyświechtane rytuały. Radlaki w garść i ruszmy w otchłań tunelu pod ulicą Legionów. Trzysta metrów. Trzysta metrów i ciała oraz dusze tamtych znajdą się w naszej mocy. Jak również skrzynki z konserwami przytargane przez ich stalkerów” – myślał Janek. Poprzedniego wieczoru, po relacji pierwszego kwatermistrza o braku zasobów przestał się wahać. Stalkerzy dołączyli do politycznych i siódme głosowanie w tej samej sprawie nareszcie przyniosło efekt od tygodnia już lansowany przez Kierownictwo. Atak. Totalny. Wszystkimi zasobami. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Dopóki jeszcze kołacze się w nas resztka sił, dopóki jeszcze nie padliśmy na pysk. Nie, dziś nie będzie wieczornego liczenia.

Janek widział struchlałe twarze, na których po chwili osłupienia zaczęły się malować sprzeczne i skrajne uczucia. Strach, rozpacz, załamanie, determinacja. Zrobił krok do przodu, potem drugi. Ze spokojem zaczął formować szyk swojej brygady. Szturmowcy chwytali radlaki, rohatyny i pojedyncze noże. Nadzieja obumarła, pozostała tylko siła rozpaczy. Policzymy się rano. Albo tamci policzą nasze ciała.

UNIWERSUM METRO 2033
Portal miłośników książek z serii Metro 2033

Dołącz do społeczności portalu,
publikuj swoje teksty i grafiki,
oceniaj i komentuj twórczość innych
i bądź na bieżąco z wydarzeniami
związanymi z postapokaliptycznym światem
Dmitrija Glukhovsky’ego.

www.metro2033.pl
facebook.com/metro2033pl

DMITRY GLUKHOVSKY
METRO
2033

DMITRY GLUKHOVSKY
METRO
2034

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY
UNIWERSUM
METRO
2033
SZYMUN WROCZEK
PITER

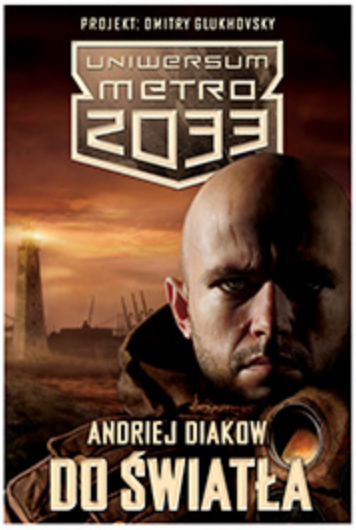
PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY
UNIWERSUM
METRO
2033
ANDRIEJ DIAKOW
DO ŚWIATŁA

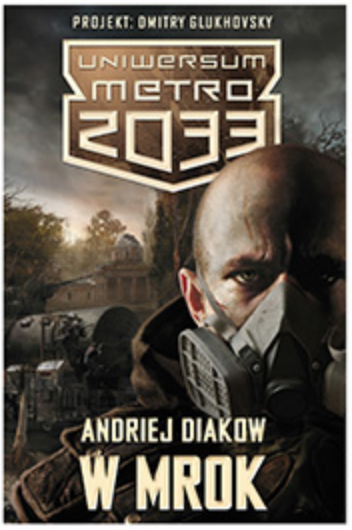
PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY
UNIWERSUM
METRO
2033
ANDRIEJ DIAKOW
W MROK

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY
UNIWERSUM
METRO
2033
ANDRIEJ DIAKOW
ZA HORYZONT

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY
UNIWERSUM
METRO
2033
TULLIO AVOLEDO
KORZENIE NIEBIOS

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY
UNIWERSUM
METRO
2033
SUREN CORMUDIAN
DZIEDZICTWO PRZODKÓW

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY
UNIWERSUM
METRO
2033
W BLASKU OGNIA
WYBÓR NAJLEPSZYCH OPOWIADAŃ
POLSKICH FANÓW UNIWERSUM METRO 2033